

Zwiedzanie Sal 10, 11, 12, 13 (malarstwo) z przewodnikiem

Kwiecień 2011

Pewna młoda osoba, fan Beksińskiego, poprosiła mnie, bym opowiedział jej coś więcej o kilku obrazach Mistrza. Pomyślałem sobie, że to dobry pomysł i że warto go rozszerzyć i opublikować. Tak więc wybrałem prawie dwieście obrazów, z którymi kojarzyły mi się wspomnienia, bo albo do mnie należą, albo przeszły przez moje ręce, albo były, według mnie (podkreślam: według mnie), szczególnie nieudane, albo też nigdy do mnie nie należały, ale zrobiły na mnie większe od innych wrażenie. Po czym zorientowałem się, że czytelnik nie wytrzyma tak długiego dystansu i że sto obrazów wystarczy. Tak więc niniejszym opisuję wszystko to, co kojarzy mi się z ową setką. Wybór jakiego dokonałem jest poza tym arbitralny, bo wiele obrazów, które głęboko wryły mi się w pamięć i były wspaniałe, zostało pominiętych.

Dodaję, że Beksiński nigdy nie dawał obrazom tytułów. Tak więc tytułami są wymyślone przeze mnie nazwy, (z rzadka robił to sam Mistrz), często niemające żadnego związku z tym, co było namalowane. Tak było na przykład z jednym z poniższych obrazów, który on w korespondencji ze mną nazywał „Faceci w dołku”, a ja nazwałem „Katyniem”. Ale w przytłaczającej większości są to nazwy, które ja dałem, co podkreślam, żeby nie było żadnej wątpliwości.

A oto i sto obrazów wraz z komentarzami, czasem złożonymi z dwóch zdań, a czasem z dziesięciu stron.



„Zakneblowana twarz”

Według Beksińskiego był to pierwszy obraz jaki namalował. Niestety nie zapytałem o uściślenie tego, co przez to rozumiał. Bo wiem, że jeszcze jako młody człowiek malował wiele obrazów szybko i byle jak, po czym je wszystkie spalił. A więc może myślał o tym, że jest to pierwszy obraz jaki uznał za „naprawdę” namalowany? Bo prawdziwy początek malarstwa zaczął się u Beksińskiego bardzo późno, około chyba 34-go roku życia. Teraz ten obraz wisi u mnie. Już nie pamiętam jak go nabyłem. Chyba od samego Beksińskiego? A może od jego katowickiego kolekcjonera, Szydły, od którego również kupiłem (to pamiętam doskonale) „Kołyškę”? Choć nie jestem jego entuzjastą, to jednak z uwagi na historyczną jego wartość ma on pozostać w stałej kolekcji, którą przeznaczam po mojej śmierci do muzeum Beksińskiego. Bo wierzę, że kiedyś prawdziwe muzeum Mistrza zaistnieje.



„Kapuściana głowa”

Ten obraz kupiłem na samym początku znajomości z Beksińskim od niego samego. Jest niezwykle starannie namalowany. Nazwałem go „Kapuściana głowa”. Charakterystyczny jest tym, iż jak to często bywało w obrazach z tamtej, fantastycznej epoki Mistrza, zawiera mały żartobliwy persyflaż. Otóż w na pozór przekrwionych oczach tej napawającej lękiem twarzy, po zbliżeniu się do niej, widz odkrywa, że zamiast czerwonych żyłek są gałązki drzewa, na którym siedzą i fruwią ptaszki. W jednym z oczu jest księżyc a w drugim słońce. Pod wieczór te oczy zapalają się i świecą, mimo że nie są malowane żadną specjalną farbą. To kontrast kolorów powoduje owo wrażenie. W mojej paryskiej galerii znajdował się on w samej głębi kamiennej, wielkiej, średniowiecznej piwnicy, do której się szło długim korytarzem. Oświetlony kadrującym światłem, był on oparty o mur na jego końcu. W półmroku, jaki tam umyślnie panował, już z dala te jarzące się oczy robiły piorunujące wrażenie tajemniczości i niepokoju. Obecnie wisi nad moim biurkiem, na którym piszę niniejszy komentarz.



Ten obraz kupiłem od Szydły, który tak jak Ściegienny, poznał malarstwo Beksieńskiego zaraz w początku lat 70-tych i który, choć skromny nauczyciel chemii w szkole, zakupił od niego kilkanaście obrazów, rysunków i jeden relief. W ramach odwiedzania wszystkich kolekcjonerów prac Beksieńskiego, by odkupić od nich to, co tylko mogłem, odwiedziłem w Katowicach (czy w Wałbrzychu?) Szydłę. W tym czasie chciał on sobie wybudować dom i potrzebował na to pieniędzy. Toteż, choć z wielkim i widocznym bólem, (za co poczułem do niego sympatię) odsprzedał mi „Kołyskę” (patrz poniżej) oraz i ten obraz, (plus dwa inne i relief). Napomknę, że obraz był źle, bo za grubo werniksowany. Wiem, że Szydło nigdy sobie w końcu domu nie wybudował, a resztę swojej kolekcji sprzedał w latach chyba 90-tych przez jakąś galerię czy aukcję. Prawdą jest, że co miał najlepszego to ja zabrałem, tak iż nie starałem się nabyć tych pozostałych prac. Obraził się potem na mnie gdy przeczytał moją książkę „Zmagania o Beksieńskiego”, w której opowiadałem, jak wszyscy moi wierzyciele (w tym i on), bezlitośnie przyciskali mnie bym im zapłacił to, co byłem im winien, w sytuacji, w której po pierwszej wystawie w „Valmay”, byłem na progu bankructwa i nie miałem ani grosza. Co do obrazu, do którego nie miałem nigdy specjalnej sympatii to, o ile pamiętam, sprzedałem go Japończykom, o których opowiadam w epilogu „Zmagań...” zatytułowanym „Fart”.



„Krwawa głowa”

Ten obraz sprzedałem bez żalu Japończykom spośród 58-miu czy 59-ciu innych. Jest typowym przykładem przeładowania i groteski, w które czasami wpadał Mistrz. Bo jeśli sama głowa wystarczyłaby z płynącymi potokami krwi, to po co te główki i medaliony na jej czole? Jest szereg obrazów, w których to niepotrzebne dodanie jakiegoś groteskowego szczegółu spowodowało, że rozstałem się z obrazem, który poza tym byłby świetny.

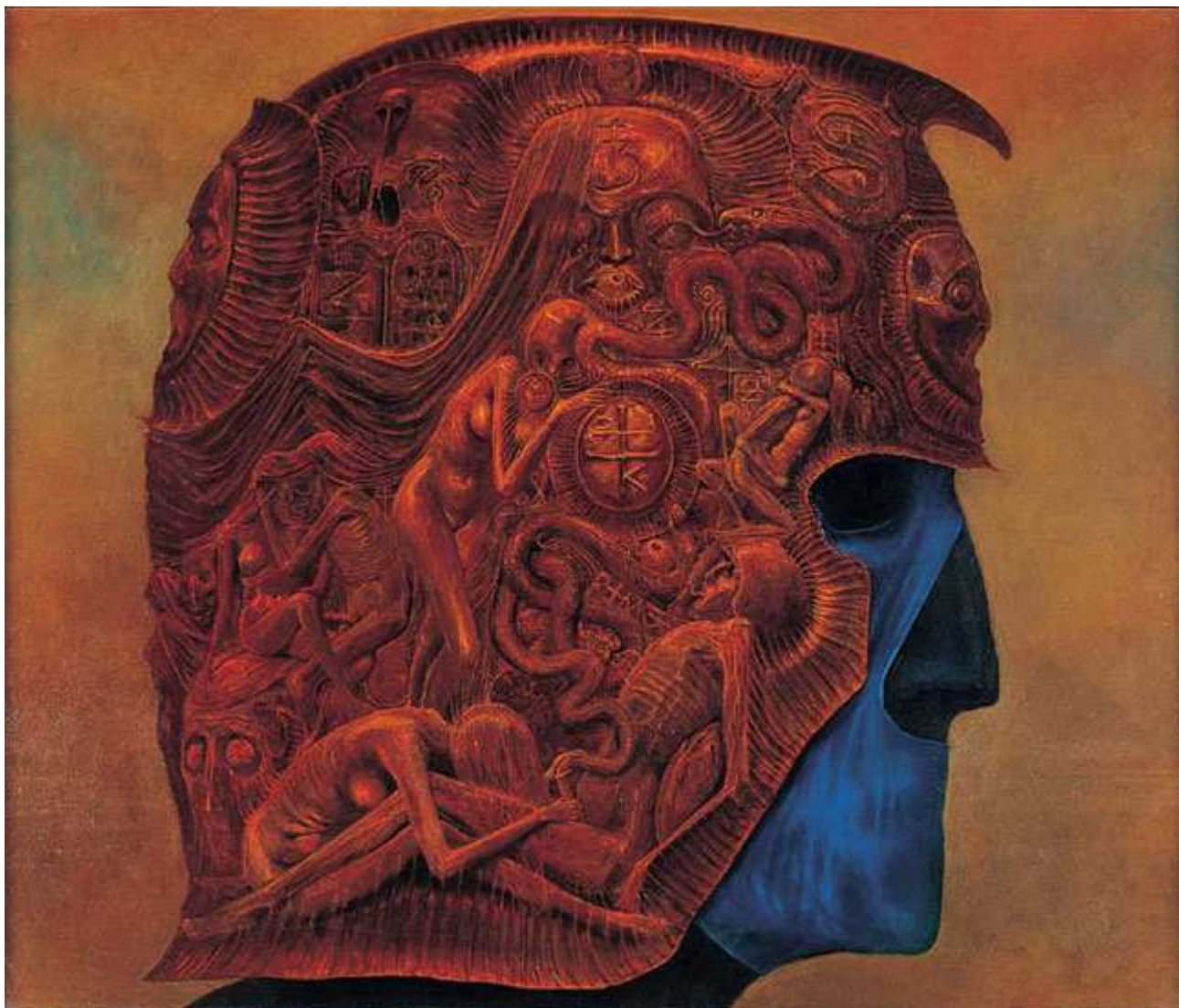
Dodam jeszcze, że ta „Krwawa głowa” była reprodukowana na okładce amerykańskiego pisma OMNI jakieś dwadzieścia lat temu.



„Złota postać”

Na samym początku naszej znajomości Beksiniński dał mi kilka małych slajdów, marnych bo robionych na błonie ORWO, obrazów które sprzedał przy różnych okazjach. W tym był i slajd tej „Złotej postaci”. Niewiele mogłem widzieć na slajdzie, ale obraz ogromnie mi się podobał i często o nim marzyłem. Jakiś rok temu, robiąc porządki w moich papierach dotyczących Mistrza, znalazłem zdjęcie tego obrazu z napisanym na odwrocie adresem jakiegoś człowieka w Niemczech. Pomyślałem, że to z pewnością właściciel, choć nie pamiętałem, jak zdjęcie dostało się w moje ręce. Ale ponieważ byłem w okresie szeroko zakrojonego odkupywania obrazów Beksinińskiego od osób którym je kiedyś sprzedałem, na wszelki wypadek napisałem pod adres ze zdjęcia z zapytaniem czy ta osoba jest właścicielem i czy gotowa byłaby obraz sprzedać. Traf chciał, że ów Niemiec właśnie poszukiwał nabywcy. Ale cena jakiej zażądał była wysoka. Toteż targi trwały dobre pół roku zanim dobiliśmy interesu. Pojechałem do Niemiec sfinalizować transakcję i spotkałem się z nim w jakimś hotelu. Niemiec był wyjątkowo przystojnym starszym panem z luksusowym samochodem. Lecz obraz, który mi pokazał trochę mnie zawiódł. Ponieważ był to

typowy obraz z okresu fantastycznego, bardzo poszukiwanego przez kolekcjonerów i który był bardzo spektakularny, wiedziałem że nie będę miał trudności z odsprzedaniem go. I tak też się stało. Szybko pewien kolekcjoner z Warszawy, który już uprzednio kupił kilka obrazów ode mnie, nabył go.



„Rzymski kask”

Ten obraz był sprzedany we Francji za... 60 dolarów (300 franków)! Któregoś dnia, chyba w 2001 roku, (w każdym razie jeszcze za czasów gdy we Francji walutą był frank), zadzwonił do mnie Marek Mielniczuk, marchand obrazów, który wówczas miał galerię w Paryżu, zapowiadając mi scoop. Otóż jego współpracowniczka Francuzka, która tego dnia była w Drouot, to znaczy w paryskim domu aukcyjnym, żeby zobaczyć co będzie sprzedawane po południu, zadzwoniła do niego informując, że na banalnej aukcji bez katalogu, pomiędzy starą lodówką, byle jakimi bibelotami i książkami z majątku zajętego przez komornika u niewypłacalnego dłużnika, będzie sprzedawany obraz jakiegoś polskiego malarza. Tu, przekręcając je, podała nazwisko

Beksiński i zapytała czy warto to kupić. Na co Mielniczuk odpowiedział jej że tak, a gdy zapytała do jakiej sumy warto licytować podał sumę 30 tysięcy franków. Na co współniczka zadzwoniła do niego wieczorem informując, że kupiła ten obraz za 300 franków. Mielniczuk aż podskoczył. Nie będę już opowiadał jak to się między nimi odbyło, bo współniczka szybko się zorientowała, przeglądając dawne katalogi, że ceny Beksińskiego w innych, prestiżowych i katalogowanych aukcjach paryskich oscylowały między 50-60 tysięcy franków. Krótko mówiąc Mielniczuk zawiózł obraz do Polski i sprzedał go natychmiast za 40 tysięcy złotych.

Taka jest cena na obrazy nieznanymi malarzy. Bo liczy się jedynie nazwisko, czego naiwni amatorzy nie wiedzą, a nie jakość malarstwa. Gdyby wstawiono na aukcję obraz malarza klasy Leonardo da Vinci o nieznanym nazwisku, sprzedałby się dziś za 50 euro, choć by był absolutnym arcydziełem. Tak więc pytanie ile jest warty dany obraz, zadawane często przez amatorów sztuki jest bezsensowne, bo nie jakość malarstwa jest ważna a renoma nazwiska. Jednym słowem był to najtańszy obraz w historii handlu pracami Mistrza. Gdy mu o tym opowiedziałem, niby nie zdziwił się, bo doskonale wiedział jak to jest z rynkiem sztuki, ale mimo tego wiadomość go nieprzyjemnie poruszyła.

Oczywiście dla porównania zapraszam gości niniejszej wizyty z przewodnikiem do przeczytania historii najdroższego obrazu Mistrza, sprzedanego przeze mnie za 100 tysięcy dolarów w 1990 roku. A oto ona:



„Morze ze słońcem”

Historię sprzedaży tego obrazu opisałem w epilogu do mojej książki „Zmagania o Beksińskiego” pod tytułem „Fart”. Ponieważ nie wszyscy czytali ją lub będą mieli ochotę do niej zajrzeć, niniejszym cytuję tę opowieść prawie in extenso. Ci natomiast, którzy mają już lekturę „Fartu” za sobą, mogą sobie dać spokój z czytaniem poniższego komentarza, bo jest dosłownym cytatem z epilogu.

Po wybudowaniu mojej galerii w Paryżu, na ulicy Quincampoix, pod koniec 1989 roku, znalazłem się znów w tragicznej sytuacji finansowej z około 800 tysiącami franków długów. Na dwóch pierwszych wystawach, Beksińskiego a potem Henricot, nie sprzedało się nic. Pod zastaw mego mieszkania udało mi się wprawdzie uzyskać przyrzeczenie kredytu od pewnej instytucji finansowej, ale to nie rozwiązywało, a tylko oddalało problem.

W dzień lub dwa po otrzymaniu tego przyrzeczenia, siedziałem jak co dzień z żoną w galerii. Obok mnie siedział Franek Starowieyski. Gadaliśmy o tym i o owym.

A mnie w głowie było tylko jedno: jak znaleźć 800 tysięcy na spłaceniu najbardziej naglających długów, ale również jak znaleźć pieniądze na dalsze wystawy.

Tak więc siedziałem ze Starowieyskim, gdy nagle zadzwonił telefon. Z drugiej strony jakiś człowiek mówił fatalną angielszczyzną coś, czego nie rozumiałem, bo nie tylko źle wymawiał, ale na dodatek ewidentnie dzwonił z daleka i gdy on mówił, mój głos nakładał się na jego i jeden nie słyszał drugiego. Wreszcie domyśliłem się raczej niż zrozumiałem, że ten ktoś pyta mnie czy mam obrazy Beksińskiego. Odpowiedziałem, że tak. Człowiek zapytał ile ich mam. „No, mam sporo”. „Ile?”. To wypytywanie zaczynało mnie irytować, toteż przerwałem rozmowę. Na co Starowieyski wtrącił się mówiąc mi, że on wie kto to dzwonił, że to jest taki facet z Teksasu, któremu o Beksińskim opowiadała Ewe Pape, alkoholik, z którym nie warto tracić czasu na puste rozmowy.

Starowieyski był miłym mitomanem i tego co mówił, nie należało na ogół brać na serio. Natomiast zastanowiłem się czemu nie zadałem człowiekowi, który dzwonił prostego pytania kim jest, skąd dzwoni i o co mu właściwie chodzi.

Po czym zapomniałem o całym zajściu.

Następnego dnia znów dostałem telefon od tego samego faceta i znów ledwo go słyszałem. Ale teraz go już nie zbyłem byle czym. Po krótkiej wymianie zdań powiedziałem, że mam ponad sto obrazów Beksińskiego. Na co on przedstawił się, że jest Japończykiem z Osaki i że z kilkoma innymi osobami przyjadą do Paryża zobaczyć je tego a tego dnia. Jednocześnie poprosił mnie o to, bym wyszedł po nich na lotnisko. Mieli się zatrzymać w Paryżu, w „Hotel Olajo monco”.

Gdy w dwa czy trzy dni później pojechałem po nich na lotnisko, wpadłem w korek i zjawiłem się tam w półtorej godziny po przylocie samolotu.

Toteż wracałem do galerii poirytowany i zaniepokojony, że następna szansa przeszła mi koło nosa. Zaczęliśmy się jednak z żoną zastanawiać w jakim hotelu ci ludzie mogli się zatrzymać. W tym celu zadzwoniłem do najbardziej luksusowego hotelu w Paryżu, chyba George V, i zapytałem co może znaczyć w ustach Japończyka „Hotel Olajo monco”. Na co odpowiedziano mi, że chodzi chyba o „Royal Monceau”, bo Japończycy nie wymawiają litery r.

Zadzwoniłem więc do hotelu Royal Monceau i zapytałem czy przyjechało dziś do nich pięcioro Japończyków. Na co konsjerż odpowiedział mi, że tego samego dnia przyjechało ich co najmniej trzydziestu i że nie jest mi w stanie pomóc.

Ponieważ jednak nalegałem, zgodził się przeszukać listę i znaleźć tych, którzy przybyli przed mniej niż dwoma godzinami. Znalazł o kogo chyba chodzi i połączył mnie z ich pokojem. Tu wpadłem na mojego rozmówcę, który zrobił mi wyrzuty, że nie czekałem na nich na lotnisku.

Umówiliśmy się, że następnego dnia będą u mnie w galerii o 11-tej rano.

Przez cały poprzedni dzień przetransportowywałem z Marly do galerii pięćdziesiąt sześć (o ile pamiętam) obrazów Beksińskiego, na których mi nie zależało i z których mieli sobie wybrać. Wszystkie obrazy, które lubiłem zachowałem w domu.

Punkt jedenasta przyszli. Były to dwa dość jeszcze młode małżeństwa i mój rozmówca, który okazał się ich totumfackim. Oni nie mówili ani po angielsku ani po francusku. Totumfacki mówił jako tako po angielsku.

Poprzedniego dnia moja małżonka przestrzegła mnie, żebym zabrał z piwnicy najlepsze obrazy Beksińskiego, które były tam wystawiane permanentnie (mieliśmy piękne, średniowieczne piwnice gdzie dziesięć obrazów Beksińskiego było stale pokazywanych w mrocznej atmosferze przy dźwiękach muzyki i w specjalnym kadrującym oświetleniu) i zastąpił je innymi, wybranymi spośród tych przywiezionych do galerii chyba 56-ciu. Wiedziała ona bowiem równie dobrze jak ja, że natychmiast będą prośby o to żeby sprzedać te właśnie. Rzecz, która mimo tragicznej sytuacji, w jakiej byliśmy była wykluczona.

Wszyscy zeszli do podziemi, a ja siedząc na parterze przy biurku, słyszałem stamtąd pełne zachwyty „aaah, aaah...” Światła, muzyka i atmosfera tych piwnic zrobiły swoje.

Po czym obie pary i totumfacki poprosili, bym im pokazał obrazy przeznaczone na sprzedaż. Stały one postawione rama na ramie w drugiej sali galerii. Zanim zacząłem je po kolei odsłaniać, zaznaczyłem, że jeśli któryś z nich jest dla nich interesujący, to niech mi dadzą znak, a postawię go po lewej stronie. W przeciwnym wypadku, w braku jakiegokolwiek reakcji, będę go stawiał po prawej stronie. Po czym przesuwalem obrazy jeden po drugim. Oni fotografowali każdy z nich z lampą błyskową i nie mówili nic. Tak więc na koniec wszystkie obrazy znalazły się po prawej stronie, tej po której miały stać te, które jakoby nie interesowały ich.

Oba małżeństwa wyszły na ulicę zapalić papierosa, a ze mną został totumfacki. Siadł w fotelu naprzeciw i od razu zapytał: „Mieliśmy trudną podróż, były koszta, samolot, hotel, jednym słowem jaką da nam Pan zniżkę?” Pomyślałem sobie, że przecież on nie wie po ile są obrazy, bo ceny były napisane na odwrocie każdego z nich (rzecz, o którą prosił mnie jeszcze dzwoniąc z Japonii), a więc jak może już od razu mówić o zniżce. Niemniej odpowiedziałem: „Jeśli weźmiecie pięć z nich, to pięć procent, jeśli dziesięć to dziesięć procent, a jeśli więcej to piętnaście procent”.

Na to on, nie przedłużając rozmowy, wyszedł na ulicę porozmawiać z resztą i wrócił natychmiast po trzydziestu sekundach. Zapytałem go: „A więc ile?” Na co on: „Wszystkie”.

Ale oni przecież nadal nie wiedzieli ile to ma ich kosztować, bo nie znali cen obrazów, drobnym pismem umieszczonych na odwrocie każdego z ich.

Umówiliśmy się, że spotkamy się tego samego dnia w ich hotelu wieczorem, w holu.

W międzyczasie sporządziłem umowę po francusku i dałem ją do przetłumaczenia na angielski mojej znajomej tłumaczce, pani Skinner. Umowa ta uwzględniała owych piętnaście procent zniżki od ceny... jaką mogłem sobie dowolnie wymyślić. W końcu zrobiłem to, opierając się na cenach napisanych na odwrocie obrazów. Obawiałem się bowiem, że jeśli przesadzę, to może to wywołać zgrzyt i ryzyko, że zrezygnują z wszystkiego. Ale mogłem z równym powodzeniem podwoić cenę, bo, jak powiadam, o cenach do zapłacenia nie było żadnej mowy. Była mowa tylko o zniżce.

Wieczorem pojechałem do nich do hotelu. Byli wszyscy pięcioro i czekali na mnie przy stoliku w wypełnionym po brzegi ludźmi holu.

Bez dłuższych wstępów dałem totumfackiemu do przeczytania umowę, która opiewała na prawie milion dolarów. On rzucił okiem szukając tylko czy jest tam klauzula o owych 15 procentach. Zobaczywszy, że jest, nie sprawdzał nawet dokładnie jaka jest ostateczna suma i podpisał bez dalszej dyskusji.

Jeden z mężczyzn poszedł na górę do ich pokoju i wrócił z banalną, papierową torbą, jaką się dostaje w sklepach na zakupy i którą podał mi pod stolikiem. Było tam 70 tysięcy dolarów zaliczki.

Umawialiśmy się, że połowę należnego mi miliona prześlą mi przelewem na bank, a drugą połowę odbiorę sam w gotówce w Osace w Japonii.

Nadmienię, że dwadzieścia lat temu te dolary były coś warte. Dziś dolar tak spadł, że suma miliona nie robi już wrażenia. Ja jednak w tamtych czasach czułem się jakbym śnił. Dla mnie były to ogromne pieniądze.

Po kilku dniach wysłałem im tych 56 obrazów przez specjalnego przewoźnika, uprzednio rozwalając ramy, w które oparł je Beksiński. Bo według umowy koszty przewozu miałem ponieść ja. Gdyby obrazy miały jechać z ramami, trzeba by było sporządzić specjalne skrzynie i objętość wszystkiego byłaby ogromna, a tym samym i koszt przewoźnika. Na to więc by zmniejszyć go, wyjąłem obrazy z ram, tak iż powstała z tego tylko jedna wielka paka.

Wysłałem je, a w tydzień potem poleciałem do Osaki.

Tam czekał na mnie na lotnisku totumfacki i zawiózł mnie do miasta do ekskluzywnej restauracji, gdzie wszyscy już na mnie czekali w otoczeniu szeregu ich japońskich przyjaciół. Nie byłem wprawdzie w stanie przełknąć tego czym mnie częstowali, bo było to nie do przełknięcia, ale wymieniliśmy wiele uśmiechów i gestów ręką by sobie dać do zrozumienia, że wszyscy są zadowoleni.

Po czym, przez tydzień totumfacki zajmował się mną bym się nie nudził. Wyraźnie było mu nakazaniem, że ma mi zgotować jak największą ilość atrakcji. Pokazali mi przy okazji swoje biura, oraz ogromny budynek, który akurat budowali, i w którym, na

pierwszym pięttrze, miało powstać „Muzeum sztuki europejskich krajów wschodnich”, a w nim również sale przeznaczone na obrazy Bekszińskiego.

Zaprosili mnie te¿ kilkakrotnie do ich klubów gdzie wręcz kapao bogactwem, Rolls Roysami i gdzie emablowały nas młode gejsze.

Po tygodniu zwiedzania w towarzystwie totumfackiego wróciłem z elegancką walizeczką, którą mi kupili, pełną ułożonych w pliki, nowych banknotów stu dolarowych w japońskich obwolutach. Było to tak jak w amerykańskim filmie o gangsterach. Podróż była długa, męcząca, trochę gwarzyłem po francusku z dwoma koreańskimi stewardessami na urlopie, które jechały do Paryża na kilka dni i chciały bym je oprowadzał. No, ale na lotnisku czekała na mnie Ania.

Nie było wówczas jeszcze hysterii wywołanej zamachami na samoloty, toteż nikt nie kontrolował mojego bagażu ręcznego z blisko pięciuset tysiącami nowiuteńkich banknotów studolarowych, ani na lotnisku w Osace ani w Paryżu.

Lecz na tym nie koniec.

W jakiś czas potem Beksziński poinformował mnie przez telefon, że Japończycy znaleźli się w Polsce i że złożyli mu wizytę. Opisał to jak zwykle z dużą dozą humoru, opowiadając jak to za nim gonili po pokojach z paczkami dolarów w rękę prosząc, by im sprzedał wiszące u niego jego obrazy po 40 tysięcy dolarów za każdy. A co najlepsze proponowali mu odkupienie umowy, jaką ze mną podpisał. Jednym słowem chcieli mnie wymanewrować. Prócz tego zaczęli szukać w Polsce, kto chciałby sprzedać im jakieś dalsze obrazy Bekszińskiego.

Byli jak naiwne dzieci obnosząc się z workiem pieniędzy (dosłownie) i pokazując je na prawo i na lewo. Tak zresztą było i wtedy, gdy byli u mnie w galerii. Mieli ze sobą torbę pełną dolarów i z dumą pokazywali ile to mają samej gotówki przy sobie. Mieli szczęście, że nie padli ofiarą jakichś bandziorów, bo wyrwać taką torbę było łatwą rzeczą.

Po czym, po Polsce, przebiegli Japończycy zjawili się ponownie w Paryżu. Myśleli, że nic nie wiem o ich zabiegach wyeliminowania mnie z układu z Bekszińskim. Wyprowadziłem ich z błędu, na co starali się obrócić wszystko w żart.

Natomiast od Bekszińskiego lub w inny sposób, dowiedzieli się w międzyczasie, że i ja im nie pozostałem dłużnym, sprzedając im tylko obrazy mniej interesujące, a zachowując sobie wiele innych bardziej wartościowych.

Toteż, będąc teraz po raz wtóry w Paryżu, zaczęli mnie po prostu błagać bym im sprzedał dalsze. Oczywiście było to wykluczone, tym bardziej że nie miałem już noża na gardle. Gdy odmówiłem, poprosili mnie bym choć pokazał im to, co posiadam.

Tak więc siedliśmy do samochodów i zaprowadziłem ich do siebie do domu, do Marly.

W tym czasie wszystkie obrazy były jeszcze przechowywane u mnie w mieszkaniu. Gdyśmy dojechali, wyjąłem cztery z nich („Trąbę słońca”, „Morze, ze słońcem”, i już nie pamiętam jakie dwa dalsze). Przyglądali się, fotografowali i cmokali. I znów zaczęli dopraszać się, żebym je im sprzedał. Na co, nie zastanawiając się nad tym co mówię, powiedziałem ot tak sobie, że jeśli kiedyś zapłacą mi po sto tysięcy dolarów za każdy, to im je sprzedam. Ledwie totumfacki przetłumaczył to na japoński a Kadji, jeden z jego patronów kiwnął głową. Totumfacki przetłumaczył: „Dobrze. Kupujemy.”

I tu się przeliczyłem, bo za szybko chciałem upiec dwie pieczenie na raz. Tak więc umówiłem się z nimi, że sprzedam im te cztery obrazy po sto tysięcy dolarów każdy, ale poprzez aukcje w Sothebi's albo Christi's, w Londynie lub w Nowym Jorku, tak by było napisane w katalogu aukcyjnym, że obrazy Beksińskiego osiągnęły tak wysokie ceny. Byłby to dla mojej promocji Beksińskiego ogromny krok do przodu, bo najbardziej ekskluzywne domy aukcyjne niejako przyłożyłyby swoją pieczęć do laurki, jaką bym sporządził tym chwytem Mistrzowi.

Wreszcie dogadaliśmy się, że tak będzie nie z czterema obrazami a tylko z trzema. Czwarty zapłacą natychmiast z ręki do ręki, a ja im go wyślę do Japonii.

Na koniec pokazałem im obraz, który Beksiński określał jako „Faceci w dołku” (lub jak ja go nazywam, „Katyń”). Tym tak się rozentuzjzmowali, że Kadji powiedział, iż „zapłaci cenę jakiej zażądam”. A ponieważ pozostałe oceniłem na 100 tysięcy dolarów każdy, tak więc mogłem przypuszczać, że są gotowi zapłacić za ten daleko więcej. O ile, by mu sprawić przyjemność, sfotografowałem go na pamiątkę obok „Katynia” (mam jeszcze to zdjęcie), to sprzedaży odmówiłem.

Od razu wypłacili mi 100 tysięcy dolarów w gotówce za „Morze ze słońcem” i wyjechali z Paryża.

Natychmiast sporządziłem nową umowę, kazałem przetłumaczyć na angielski i wysłałem im zarówno sprzedany obraz jak i kontrakt dotyczący dalszych trzech, do podpisania.

Przez dłuższy czas czekałem na odesłanie mi podpisanego kontraktu dzwoniąc i pytając skąd wynika zwłoka. Wreszcie kontrakt nadszedł, ale totumfacki skreślił słowa, w których określony był termin, przed którym miało dojść do transakcji i zastąpił je dopiskiem „niebawem”.

Poczułem, że zaczynają się wykręcać. Niemniej dostałem od nich pocztą taśmę video, na której znajdowało się kilka filmów, w tym ten o ich nowo powstałym już wykończonym muzeum z osobnymi salami dla Beksińskiego. Sale te były pompatyczne, aż przesadnie luksusowe i to do tego stopnia, że boazerie na ścianach

były tak wycięte, żeby obrazy Beksiańskiego, które w międzyczasie oprawili, wkomponowały się w nie.

Na video było również nagranych kilka programów japońskiej telewizji z totumfackim przedstawiającym japońskiej publiczności obrazy Beksiańskiego.

Jeszcze w Paryżu gdy pytałem ich, po ile myślą je sprzedawać, powiedzieli mi, że zaczną od 200 tysięcy dolarów. Wtedy uśmiechnąłem się, bo miałem jawny dowód, że są absolutnymi amatorami nieznającymi się na rzeczy. Ja też myślałem na pierwszej wystawie w Valmay, że sprzedam obrazy po 360 tysięcy franków. Rzeczywistość szybko nauczyła mnie, jak to jest naprawdę z nieznanym malarzem i jego wyceną na rynku. Opisałem to szczegółowo w „Zmaganiach”.

Ta ich pewność siebie teraz zaczęła się jednak chwiać. Jak powiedziałem, długo nie odsyłali mi podpisanego kontraktu a potem, gdy go już dostałem, zamilkli.

I słuch po nich zaginął.

Taka była historia najdroższego obrazu Mistrza. Radzę porównać ją z historią sprzedaży najtańszego jego dzieła, za cenę ... 60-ciu dolarów (patrz wyżej).



„Portret Alicji”

Ten obraz spotkałem u Alicji Wahl, która przede mną handlowała obrazami Beksińskiego. Była to za czasów Komuny najbardziej licząca się galeria w Warszawie. Obok Mistrza wystawiali w niej Starowieyski, Duda Gracz i inni. Lecz ten obraz Alicja Wahl zakupiła dla siebie samej, bo uważała, że ją przypomina. Wprawdzie moim zdaniem podobieństwa nie było tam żadnego, no ale w jej przekonaniu był to jej wierny wizerunek. Wisiał w części mieszkalnej jej domu (galeria mieściła się na parterze). To w tej galerii spotkałem się z twórczością Mistrza i to w tej galerii zakupiłem moje pierwsze dwa jego obrazy. Jeden jest reprodukowany w niniejszej „Wizycie z przewodnikiem” („Żołnierskie szynele z samolotem”). Wahl była okropnie trudną kobietą, prowadzącą rozmowy prawie zawsze na granicy kłótni. Miałem z nią stosunki napięte, bo oczywiście nie była uradowana tym, że pozbawiłem ją najbardziej dochodowego malarza. Beksiński też bał się jej jak ognia i w czasach gdy współpracowali ulegał jej we wszystkim. Jednak wiem, że nawet ten spokojny człowiek też się z nią pokłócił pod koniec swego życia i że rozstali się w niezgodzie. Kiedyś, na prośbę Mistrza, chyba w 1989 roku, mimo że to teraz ja posiadałem wyłączność i że całkowicie wyprowadziłem Beksińskiego z polskiego rynku, zgodziłem się na wystawę jego nowych prac u Wahlowny. To jakoś rozpogodziło moje z nią stosunki. Potem zresztą sprzedałem za jej pośrednictwem kilka obrazów,

w tym dwa, które publikuję w niniejszej „Wizycie z przewodnikiem” („Kierunkowskaz” i „Miasto burzące się od dołu”). Nie wiem czy jeszcze żyje, bo jej domniemany portret został sprzedany, jak mi to zasignalizował jakiś zagraniczny kolekcjoner, który go nabył.



To było „zwierzę domowe” Beksińskiego. Wisiał od wielu lat na drzwiach jego pracowni malarskiej. Dziś jest w Sanoku.



„Nine eleven”

To jest bardzo mały obraz, chyba 73 na 73 centymetry. Beksiński jeszcze przed naszą współpracą podarował go Sanokowi. Ja wybrałem go na okładkę pierwszego wydania pierwszego tomu mojego albumu „Beksiński”. Nazywam go „Nine eleven” bo przypomina mi palące się wieże World Trade Center.



„Żyd”

Ten obraz sprzedał mi chyba Szydło, choć może się mylę. Pamiętam tylko, że ten od kogo go kupiłem, zwierzył mi się, że ma nieczyste sumienie, a wiercący wzrok tej postaci wydaje mu się przypominać mu o jego grzeszkach. Dlatego chciał się go pozbyć. Wyjątkowo dobrze udało mi się go oprawić. Bo gdy zrobiłem ramy do pierwszej wystawy w „Valmay”, Beksiński „wsiadł” na mnie, że są pretensjonalne i świadczące o moim złym guście (choć piekielnie drogie i bardzo starannie wykonane). Ten zarzut robił mi wielokrotnie z równą złością jak ten, że poprosiłem Polańskiego o napisanie jakiegoś słowa wstępnego do katalogu mojej pierwszej paryskiej wystawy. Dziś trochę mu przyznaję rację. Zrobiłbym to inaczej. Niemniej te dość pompatyczne ramy pasują do „Żyda” znakomicie. I choć zmieniłem od tego czasu ramy prawie wszystkim innym obrazom na mniej szykowne, ramę u „Żyda” zachowałem.



„Murzyn w koszulce”

Kupiłem go od Mistrza na samym początku naszej współpracy. Wyróżnia się tym, że jest to jeden z bardzo nielicznych (przynajmniej w okresie „fantastycznym”) akryli. Tak więc nie można go werniksować. Obraz ten wystawiłem, wraz z trzema innymi, zaraz po nieudanej pierwszej paryskiej wystawie, na „Salon des independants” („Salonie niezależnych”). Znajdowałem się wtedy na dnie rozpacz, choć miałem już za sobą publikację w „Penthouse”, co było jednak jakimś zwycięstwem. Stałem tego dnia na tym Salonie niejako dopilnowując mego dobytku i miałem przy sobie w torbie ów „Penthouse”, który ukazał się tego samego dnia rano. Nagle pewna grupa starszych ludzi zbliżyła się do obrazów Beksińskiego, a jedna z pań zaczęła z entuzjazmem mówić, że „to jest ten niezwykły malarz, który kilka tygodni temu wystawiał na ulicy Sekwany”. Zbliżyłem się do nich i podziękowałem za miłe słowa, bo jak mówię, byłem na dnie rozpacz i myślałem, że już wszystko przepadło. To co mówili ci ludzie, oczywiście dodało mi otuchy. Pokazałem im „Panthousa” (który wywołał nieco zażenowania, bo pełno tam było nagich panienek). A potem zaprzyjaźniłem się z nimi. Byli to dwaj malarze z żonami. Jeden z nich, Jacques Poirier, był absolutnym fenomenem „trompe l’oeil”. Nie tylko potrafił wiernie oddać każdą materię, ale na

dodatek jego obrazy były pełne atmosfery i piękna, co nie zawsze jest atrybutem prac hiperrealistycznych i trompe l'oeil.

Dziś obraz wisi w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie.



„Trębacz”

Ten obraz jest moim wiecznym wyrzutem sumienia, bo należy do tych, chyba czternastu, których nie powinienem był nigdy sprzedawać. Tym bardziej, że sprzedałem go wyjątkowo antypatycznemu człowiekowi tylko dlatego, że ten namolnie na mnie nalegał. Żeby się odczepił, na chybił trafił wskazałem mu ten obraz jako jedyny, który gotów jestem odstąpić. Nawet cena nie usprawiedliwia tej sprzedaży, bo była bardzo skromna. Później ten człowiek wstawił go na aukcję w Desie. Lecz w odkupieniu go ubiegł mnie ktoś inny. Tak iż obraz przepadł na lata.

Może kiedyś znów pojawi się na rynku i może traf sprawi, że uda mi się go tym razem odkupić do stałej, niezbywalnej kolekcji...

Dodam jeszcze, że na samym początku lansowania Beksińskiego w Paryżu zaproponowałem jego kupno państwu francuskiemu. Bowiem od czasu do czasu urządzone tu są komedie, które mają świadczyć o tym, że w zakupach do muzeów francuskich panuje pełna przejrzystość i absolutna demokracja. Tak więc CNAP ("Centre National d'Arts Plastiques") ogłasza chyba corocznie zakupy, do których każdy może zaproponować swój obraz. Z tym że, jak się potem dowiedziałem, gra jest z góry ukartowana i tylko artyści wyselekcjonowani i popierani przez ściśle grono tak zwanych „inspektorów” mogą liczyć na kupno. Opisałem to w „Zmaganiach...”, w notatce pod tytułem „Minière”, do której odsyłam czytelnika, który chciałby się więcej dowiedzieć o tych parodiach.



„Kołyska”

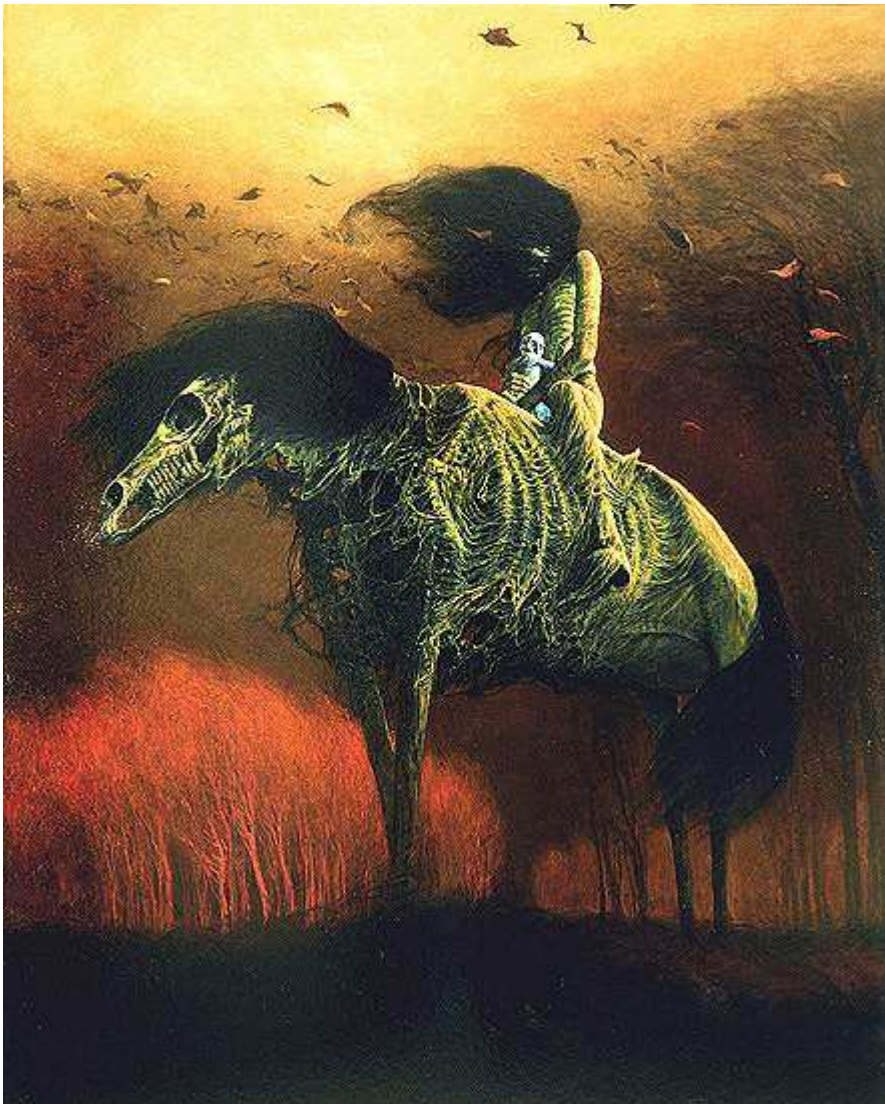
To jest jeden z tych obrazów, które wzbudzają największy zachwyt wśród publiczności. Kupiłem go od Szydły, który, biedak, aż miał łzy w oczach gdy mi go wręczał. Potem obraz stał się żelaznym gwoździem pierwszej wystawy w „Valamy”. Oświetlony kadrującym spotem, w półmroku jaki panował na pierwszym piętrze galerii, wywoływał niekończące się ochy i achy widzów. Potem stał się główną osią filmu „Hommage à Beksinski”. Nie wiem po co, ale Dziworski, reżyser tego filmu, kazał jakiemuś zakładowi wyprodukować identyczną kołyskę z drzewa, po czym filmował tę kołyskę jak się bujała i skrzypiała w świetle błyskawic i krakania kruków. Było to być może spektakularne, ale świadczyło raczej o tandetnym guście. Toteż nic dziwnego, że Beksinski poprzysiągł Dziworskiemu dożgonną nienawiść za ten film. Wielu ludzi stara się zrozumieć co robi nad kołyską napis „In hoc signo vinces („Pod tym znakiem zwyciężysz”). Wiele uczonych egzegez powstało na ten temat. Oczywiście ktokolwiek znał Beksinskiego, wiedział że ten napis NIC nie „znaczył”. Był sobie takim samym rekwizytem jak ptaki na murze czy potworki łaszące się przed kołyską. Beksinski często albo umieszczał jakiś napis albo jakąś cyfrę na obrazie, bez najmniejszej idei „znaczenia”. Po prostu tak mu „pasowało”, bo dany rekwizyt podkreślał tajemniczość lub tragizm atmosfery jaką Mistrz chciał stworzyć. Innego „znaczenia” tam nie było.

Dziś „Kołyska” wisi nad moim biurkiem, na którym piszę niniejszy komentarz.



„Chichot króla”

To jest jeden z moich pierwszych zakupów od Beksiańskiego i jednocześnie jeden z najukochańszych obrazów. Nazwałem go tak dziwnie, bo gest ręki, otwarte usta i minimalny czerwony punkcik w oku nasuwają mi skojarzenie jakiejś biblijnej postaci szydzącej z ludzkości. Zakup tego jednego z pierwszych obrazów pozwolił mi na natychmiastowe zweryfikowanie stosunku szerokiej publiczności do malarstwa Beksa. Bo gdy go przyniosłem w Warszawie, zaraz po zakupie, do domu mego znajomego, Michała Rymszy, by mu go pokazać i pochwalić się nabytkiem, natychmiast odwrócił obraz twarzą do ściany i z lęklwym śmiechem powiedział „co za koszmar”. Tak samo było z moim paryskim przyjacielem Bogdanem Poniatowskim. Ten, choć skończył w Polsce Akademię Sztuk Pięknych i powinien się trochę na malarstwie znać, gdy zaraz po powrocie z Polski pokazałem mu obraz powiedział: „koszmarny i źle namalowany”. Oczywiście nie przywiązałem żadnej wagi do tych opinii, bo wydawały mi się (i nadal mi się wydają) tak absurdalne, że niegodne komentarza. Dziś obraz wisi w pokoju mojej żony i dobrze jej jest z nim. Bo na szczęście moja żona ma trochę rozsądku w głowie i dobrego gustu.



„Don Kichot”

To też jeden z tych obrazów, z którymi łączy mi się najwięcej wspomnień. Kupiłem go na samym początku znajomości od samego Beksieńskiego. Gdy przygotowywałem pierwszą wystawę w galerii „Valmay”, podczas jednego z pobytów w Polsce pokazałem Mistrzowi projekt katalogu, który miał jej towarzyszyć. Beksieński zgodził się na reprodukcję wszystkich zaproponowanych przeze mnie obrazów, ale miał zastrzeżenia co do tego obrazu. Mimo jego wątpliwości obraz umieściłem w katalogu, lecz byłem ciekaw dlaczego Beksieński wahał się w stosunku do niego. Otóż wszystkie pozostałe obrazy, które proponowałem były „poważne”. Ten natomiast był, zdaniem Mistrza, jednym z tych, w których zawarty był jawny persyflaż i żart. Miał ten żart polegać na tym, że obie postacie kopulują. „Przecież widzisz co one robią!” powiedział. Wiele obrazów Mistrza zawiera taki persyflaż, którego właściwie tylko on był świadom, bo publiczność go nie zauważała. Rzecz na którą Beksieński niejednokrotnie się uskarżał. Dla mnie ten „Don Kichot” był i nadal jest ogromnie wzruszający, zwłaszcza figura tego biednego, ledwo się trzymającego na nogach konia, który mi przypomina nowelę Konopnickiej „Nasza szkapka”.



"Chomeini".

Tak nazwaliśmy ten obraz z moją żoną. Był kupiony przeze mnie od Szydły chyba jeszcze w 1983 roku. Centralna postać na obrazie i tłum z transparentami przypominały nam niedawną rewolucję irańską i jej złowieszczygo przywódcę. Obecnie obraz wystawiony jest w częstochowskiej Miejskiej Galerii Sztuki. Należy do obrazów niezwywalnych.



"Postać z pochodnią".

Był to obraz, który wisiał w pokoju gościnnym u Beksińskiego. Swego czasu uważał go on za swoje najlepsze osiągnięcie. Potem jednak namalował wiele innych obrazów, które wyżej cenił, a zwłaszcza „Katyń”. Nigdy nie chciał jednak tego obrazu sprzedać. Zaliczał go to obrazów zwanych „zwierzętami domowymi”, których nie wypuszczał z rąk i po jego śmierci obraz dostał się Sanokowi.



„Wieczór wigilijny”

Ten z kolei obraz był pierwszym, jaki mi się udało sprzedać w Paryżu. Opisuję to szczegółowo w „Zmaganiach...”, toteż tym razem nie będę zbytnio się rozwodzić. Po klęsce jaka spotkała mnie na mojej pierwszej wystawie w „Valmay”, podczas której nie sprzedałem ani jednego obrazu, bo wyznaczyłem wielokrotnie za duże ceny, znalazłem się w katastrofalnej sytuacji finansowej. Bo wystawa kosztowała mnie fortunę i byłem zadłużony po uszy. Niemniej kontynuowałem promocję obrazów Mistrza, wystawiając je na paryskich salonach. Te salony, choć w historii odegrały wielką rolę, bo wszyscy francuscy i we Francji mieszkający zagraniczni artyści z końca dziewiętnastego i początku dwudziestego wieku uczestniczyli w nich i tam zdobywali sławę, dziś nie znaczą prawie nic. Wystawiają na nich mierni malarze i z wyjątkiem może jednego czy dwóch, które przeprowadzają ścisłą selekcję, są tak na dobrą sprawę towarzystwami wzajemnej adoracji. Bo jedyni którzy na nie przychodzą, to znajomi i rodziny wystawiających artystów. Establishment paryski gardzi tymi salonami w sposób ostentacyjny i nigdy żaden tak zwany „poważny” krytyk nie napisze o nich ani słowa. Lecz mają one jedną zaletę: wpisowe jest niewysokie i można zawsze liczyć na cud. I mnie się cud zdarzył. Bo na „Salonie jesiennym”, na którym wystawiłem ten obraz, była wśród publiczności emigrantka

irańska, bogata żona bankiera pani Guity Afkami. Upřednio już odwiedziła ona moją wystawę w „Valmay”, o czym nie wiedziałem, i jak mi to później wyznała, musiała wyjść z sali, tak silnie na niej zrobił wrażenie Beksiński. Ponieważ sama była malarką, toteż wystawiła swoją pracę na tym samym Salonie jesiennym, na którym ja wystawiłem „Wieczór wigilijny”. I w ten sposób po raz wtóry spotkała się z Beksińskim. Tym razem zdecydowała się kupić jego obraz. Zgłosiła się do komitetu salonu i porosiła o moje dane. Nie będę już opowiadał, jak doszło do naszego spotkania. Dość, że po krótkich targach (bo nie mając żadnej nadziei na sprzedanie, wystawiłem ot tak, dla prestiżu, obraz za ogromną, jak na nieznanego malarza, sumę), sprzedałem jej mój pierwszy obraz. Pani Afkami kupiła potem ode mnie następne dwa obrazy dla swoich córek. „Wieczór wigilijny” wisiał u niej w mieszkaniu w pokoju gościnnym, w wykwińskiej 16-tej dzielnicy Paryża. Potem zaprzyjaźniliśmy się tak, iż bywaliśmy u siebie. Ponieważ jednak fortuna kołem się toczy, wygnana z Iranu przez rewolucję, pani Afkami z czasem zbiedniała, bo na dodatek zmarł jej mąż. Zapytała mnie po kilku latach, czy nie znam kogoś, kto kupiłby ten obraz. Na co ja, z walizką pełną dolarów od Japończyków, powiedziałem, że sam chętnie zrobię to ja. I odkupiłem za identyczną sumę, za którą go jej sprzedałem. Pozostałe dwa obrazy pani Afkami zachowała.

Dwa jeszcze słowa o tytule jaki nadałem temu obrazowi. Otóż w głębi, daleko w śniegu jest mała chatynka, a w niej pali się światełko. I to ten zbieg żarzącego się ogarka z ogromem śnieżnej przestrzeni i z wędrownikiem zza światów, który jakby w noc wigilijną szuka schronienia, podszepnął mi ten tytuł.

Nie tak to interpretował Beksiński. Dla niego był to jeszcze jeden z obrazów persyflażowych. „Przecież widzisz co ta postać robi z tą małą laleczką!” powiedział mi, gdy rozmawialiśmy o nabytku pani Afkami. Miało to znaczyć, że postać czerwona jest męskim członkiem, a postać, która trzyma ją w rękę, onanizuje się.

Wreszcie dodam, że Miejska Galeria Sztuki w Częstochowie, w której obraz obecnie wisi, robiąc katalog z wystawy prac Mistrza, które jej powierzyłem, wybrała fragment tego obrazu, to znaczy małą czerwoną postać ujętą w ogromne dłonie, jako jego okładkę.



„Ślepiec z laską”

Historia tego obrazu jest zabawna i pouczająca. Nabyłem go od Beksiańskiego zaraz na początku naszej znajomości. Lubilem go i myślałem, że nigdy nie będę się musiał z nim rozstawać. Obraz był szczególnie wyeksponowany w moim filmie „Hommage à Beksinski”. No, ale nadeszły ciężkie czasy po pierwszej wystawie w „Valmay”. Toteż na drugiej w 1986, na której za wszelką cenę musiałem coś sprzedać, by pospłacać długi, wystawiłem na sprzedaż i ten. Od razu wzbudził zainteresowanie publiczności. Pewien człowiek po niekończącym się oglądaniu go powiedział mi, że obraz go interesuje, ale że musi się zastanowić i przyjdzie jutro o trzeciej by zdecydować. Entuzjastycznie powiedziałem mu na odchodnym: „Zrobił Pan świetny wybór”. Na co on z arogancką miną wycedził „Tak, tak. To stary slogan”. I bez pożegnania wyszedł. Rozzłościła mnie ta jego nadęta mina, ale nie odpowiedziałem nic. Zaraz po wyjściu tego człowieka, pewien młody chłopak pracujący w Centrum Pompidou, zapalił się do tego obrazu i zaraz gotów był za niego płacić. Odpowiedziałem mu, że obraz zarezerwował jakiś człowiek, który ma wrócić jutro o trzeciej. Ale ponieważ ów człowiek poirytował mnie, to jeśli chłopak wejdzie jedna

minutę po trzeciej do galerii a faceta jeszcze nie będzie, sprzedam mu obraz. I tak się stało. Minutę po trzeciej zadzwoniłem do chłopaka, by pędem przyleciał do galerii z pieniędzmi, bo jeśli zdąży przed nadejściem tamtego, to mu obraz sprzedam. W kilka minut potem spocony i zziębnięty chłopak wbiegł do galerii i natychmiast położył gotówkę na stole. Obraz miał odebrać po zakończeniu wystawy. W pięć minut potem wszedł do galerii wczorajszy facet. Tym razem z grubym cygarem w ustach, otoczony switą kilku znajomych. Bez przywitania się ze mną, podszedł do obrazu, rzucił okiem, zamienił kilka słów z osobami, które mu towarzyszyły i wyciągnął czek. Na co, nie podnosząc oczu znad gazety, jak od niechcienia wycedziłem mu, że obraz został sprzedany. Gość zaczerwienił się i wybuchnął: „Jak to? Przecież go zamówiłem”. „Tak, odparłem zimno, ale miał Pan być o 15-tej. A teraz jest już osiem po”. Oczywiście trzasnął drzwiami, a ja wybuchnąłem śmiechem.

Wiele już lat później ten sam człowiek zdobył mój telefon i poprosił czy mógłby zobaczyć inne obrazy Mistrza u mnie w domu. Przyszedł już mocno zestarzały, zgarbiony i bez nadętej miny, pochlipując, że teraz niestety już go na Beksieńskiego nie stać. Z przyjemnością wyjaśniłem mu dlaczego obraz przeszedł mu koło nosa. No i sobie poszedł jak niepyszny.

Ten obraz jest jednym z czternastu, których nie powinienem był nigdy sprzedawać, a które sprzedałem, bo zazwyczaj miałem nóż na gardle (z wyjątkiem „Morza ze słońcem”, który sprzedałem, bo cena była wyjątkowa – 100 tysięcy dolarów – i „Trębacza”, którego sprzedałem po prostu z głupoty). Niektóre z tych czternastu odkupiłem po latach. Tego już chyba nigdy nie odzyskam, bo nie wziąłem danych tego chłopaka, który go kupił i obraz przepadł na zawsze.



Ten obraz, pochodzący jeszcze z wczesnego okresu malarstwa Mistrza, spotkałem w jednym z warszawskich domów aukcyjnych. Zrobił na mnie i na mojej żonie piorunujące wrażenie. „To jest warte „Facetów w dołku” - tak to określiła. Rzeczywiście mało jest u Mistrza tak wspaniałych wizji uzyskanych w monochromie z jedną tylko małą, żółtą kreską pośrodku. Niestety w tym momencie nie miałem potrzebnych pieniędzy, żeby za niego natychmiast jeszcze przed aukcją zapłacić i go zabrać ze sobą do Paryża. Tak, że obraz „poszedł w ludzi” i nie prędko znów pojawi mi się okazja, by go odkupić.



To też było „zwierzę domowe” Beksińskiego, którego nikomu nie chciał odstąpić. Nie wynikało to nawet z tego, że uważał obraz za wybitny, a raczej z jego dość konserwatywnego charakteru. Bo jak już raz coś zawisło na jego ścianach, to po prostu przyzwyczajał się do tego i już więcej nie chciał niczego zmieniać.



„Niebieska altana”

Ten obraz wisiał w ich pokoju gościnnym na ścianie, na której znajdowała się również „postać z pochodnią”. Nazwaliśmy go „Niebieska altana”. Tak naprawdę był to obraz należący do pani Zosi. Kiedyś zaproponowałem jej zamianę z „Kloszardem na ławce”, który się jej podobał, bo twierdziła, że przypomina ją samą, jak zmęczona całym dniem pracy w domu siadała wieczorem, by odpocząć. Niestety odmówiła zamiany. Swego czasu wypożyczyłem ten obraz od Beksińskiego, by go pokazać w mojej galerii na rue Quincampoix. Tak, iż był u mnie w Paryżu wystawiony przez kilka tygodni. Potem, z bólem serca, odtransportowałem go do Polski. Po śmierci Beksińskiego obraz dostał się Sanokowi, bo takie było życzenie pani Zosi.



I to też było „zwierzę domowe”. Był to mały obraz, chyba 73 na 73 cm, który od czasu gdy znałem Beksińskiego zawsze wisiał na zewnętrznej stronie drzwi do ich ubikacji. Ponieważ reprodukowałem go w którejś z moich publikacji, jakiś Francuz zobaczył reprodukcję i zapałał do niego entuzjazmem, koniecznie chcąc go kupić. Zaproponowałem więc Beksińskiemu, by mi go sprzedał. Najpierw odmówił, bo nigdy nie sprzedawał „zwierząt domowych”. Natomiast zaraz potem zaproponował, że mi go odda za darmo, jeśli zgodzę się położyć kres naszej umowie o współpracy. Był to czas gdy wszystko szło jak po grudzie i po pierwszej wystawie w „Valmay” obu nam groziła klęska finansowa. Toteż Beksiński chciał odzyskać pełną wolność i pozbyć się układu, o którym myślał, że nigdy nie wypali. No, ale tu ja się nie zgodziłem. Tak więc obraz pozostał w mieszkaniu Mistrza, a po jego śmierci dostał się Sanokowi.



„Liście-drzewa z serii „Z”

Patrz komentarz poniżej



„Brazowa katedra z serii „Z”

Patrz komentarz poniżej



„Pejzaż z serii „Z”

Beksiński nigdy nie malował na zamówienie. Po prostu jego obsesyjny charakter zabraniał mu podejmowania jakichkolwiek zobowiązań. Gdyby przyrzekł, że namaluje określony obraz, czułby się zniewolony i natychmiast dostałby rozwolnienia oraz bólów woreczka żółciowego. Ja po pierwszej wystawie w „Valmay” wyszedłem zdruzgotany finansowo. Toteż mimo jego stanowczej obrony, sugerowałem, że dobrze by było, gdyby jednak namalował kilka obrazów „łatwych”, to znaczy bez szkieletów i innych ewidentnych atrybutów śmierci. I tu, po wielu wahaniach się, ku memu wielkiemu zdziwieniu pewnego dnia złamał się. Może na to, żeby mi pomóc? A może dlatego, by na tym lepiej zarobić? Prawdopodobnie dla obu tych przyczyn. Dość, że zgodził się namalować co roku po cztery takie obrazy. Po czym, od razu, żeby mieć problem z głowy, machnął ich 16. Wyzначył mi za nie cenę o 50 procent wyższą niż ta, która płaciłem za bieżącą produkcję. Na odwrocie każdego z tych 16-tu obrazów napisał literę „Z” (tak jak „zamówienie”) i cyfry od 1 do 16. Gdy zobaczyłem te obrazy byłem zrozpaczony. Wprawdzie trzy z nich były poziomem zbliżone do tego co robił bez zamówień. Reszta jednak była wyraźnie słaba. Były po prostu malowane szybko, „na odczepne” i to się widziało. Jednymi z tych obrazów były te trzy, które publikuję powyżej. Pierwszy nazwałem „Drzewami-liśćmi”, drugi „Katedra brązowa” a trzeci „Pejzażem”. Bo niby był to jeden z jego przepięknych pejzaży z podwójnym

światem. Lecz patrząc z bliska widziało się, że nie było absolutnie porównania do takiej „Niebieskiej altany” czy innego z dawnych pejzaży „psychodelicznych”. Toteż zgrzytałem zębami i robiłem Mistrzowi ostre wymówki, grożąc nawet, że zapłacę za te 16 obrazów tylko naszą standartową cenę, a nie tę, podwyższoną o 50 procent. W końcu oczywiście zapłaciłem to, co przyrzekłem. Ale gorycz z jednej i z drugiej strony pozostała. Od tego czasu ani on ani ja już nigdy nie mówiliśmy o malowaniu na zamówienie. Ten obraz sprzedałem na trzeciej wystawie w „Valamy” w 1988 roku. Nabywcy nie bardzo orientowali się, że obrazy z serii „Z” były słabsze i ponieważ nie „straszyły” (lub „straszyły” mniej, bo i tak często tam bywały piszczelce i kości), wszystkie je wykupili prawie na pniu. Zachowałem tylko dwa pierwsze obrazy z serii „Z”: „Brazową katedrę”, którą potem w latach 2000-cznych i tak sprzedałem, oraz „Liście-drzewa”, które lubię, choć są trochę za jasne. Obecnie wisi w częstochowskiej Miejskiej Galerii Sztuki.



Ten obraz sprzedałem Japończykom wraz z 50-cioma kilkoma innymi. Drażnili mnie w nim ci mali ludzikowie z wystraszonymi minami. Dziś tego żałuję, bo obraz był świetny i należało go zachować. No ale Beksiński często psuł swoje prace takimi detalami, które wcale nie były potrzebne, a jemu niestety pchały się na pędzel. Bo trzeba wiedzieć, że on nienawidził pustej przestrzeni na obrazie. Bał się jej jak pisarz pustej kartki. I jeśli mu nic mądrego nie przychodziło do głowy, jak tę powierzchnię zapełnić, to malował właśnie takie „żarty”, nie zdając sobie sprawy, że w ten sposób „kopał” obraz na amen.



Ten obraz został zakupiony bezpośrednio od Mistrza przez Muzeum Narodowe w Warszawie jeszcze w latach 70-tych. Było ono wtedy zarządzane przez jakiegoś sensownego człowieka, który nie ganiał za Sasnalami, Balkami czy Opalkami, a za dobrą, prawdziwą sztuką i kupił kilka obrazów od Beksińskiego. Dziś Muzeum Narodowe w Warszawie nawet nie odpisuje na moje listy, w których proponuję pośmiertną wystawę jego prac lub odpisuje, że ma ważniejsze priorytety. No cóż, prawdopodobnie zmienił się dyrektor.



„Skala”

Kupiłem go od jakiegoś niemieckiego handlarza, który znalazł go za niewielkie pieniądze na aukcji w Niemczech (przypominam, że zanim zaczął ze mną współpracować, Beksiński miał trzy wystawy w Niemczech i tam sprzedał z setkę obrazów). Ponieważ handlarz dowiedział się, że jestem kolekcjonerem Beksińskiego, przyjechał do Paryża i zaproponował mi kupno. Cena była dość spora, ale w końcu przystępna. Toteż obraz nabyłem. Ale nie gustowałem w nim. Wydawał mi się łatwy i czysto dekoracyjny. Toteż dość szybko go sprzedałem. Sygnalizuję, że na szczycie skały znajdują się trzy małe krzyże, czego na reprodukcji trudno jest się dopatrzeć.



„Miasto burzące się od spodu”

To następny obraz - żart (nieudany). Małego rozmiaru (chyba 73 na 73 cm albo jeszcze mniejszy). Kupiłem go od pewnego spikera polskiej kroniki filmowej. Nazywał się chyba Sienicki. Obraz wisiał u jego syna, który miał nadzieję, że ojciec zostawi mu go w spadku. Bardzo był biedak rozczarowany, gdy mu go zabrałem ze ściany. Obraz był następnie reprodukowany na wewnętrznej stronie okładki albumu „Arkad”. Beksiński powiedział mi: „Zrobiłeś dobry interes”. Widocznie lubił go. Niestety obraz szybko mnie rozczarował, bo i w nim dopatrzyłem się niepotrzebnych „żartów” i bezsensownych detali. Tak więc domy unosiły się na skrzydłach lub na nadmuchanych kondomach. Najpierw chciał go ode mnie kupić architekt z Marsylii, który kupił „Dagę z piersiami”. Obracał go na wszystkie strony, a ja modliłem się, żeby kupił, bo po pierwszej wystawie w „Valmay” wyszedłem zdruzgotany finansowo. Niestety on też zauważył te „żarty” i z zakupu zrezygnował. Potem sprzedałem ten obraz przez galerię Wahl w Warszawie.



„Oczekiwanie”

To jeden z trzynastu czy czternastu obrazów, których nie powinienem był nigdy sprzedawać. Był mały i dość niepozorny. Za to jego reprodukcje, ponieważ nie było wtedy widać jego mikrych rozmiarów, wypadają świetnie. Był on naczelnym obrazem na którejś z wystaw zorganizowanych chyba jeszcze przez Boguckiego. Ponieważ organizator prosił o danie tytułu każdemu z obrazów, Beksiński, który nigdy tytułów nie dawał, zgodził się dać go całej wystawie, którą nazwał „Oczekiwanie”. Od tego czasu ten obraz jest często reprodukowany z tym właśnie tytułem, choć, powtarzam, nie do niego on należał a do całej wystawy. Sprzedałem go Japończykom.



Nazywaliśmy ten obraz „Morze z wyrzuconymi na brzeg ptakami”. Należał do Tomka Beksińskiego. Wisiał u niego w mieszkaniu. Był jednym z tych, które Tomek dostawał co roku od ojca. Beksiński dawał mu prawo do wyboru jednej pracy rocznie. Zebrało się tego u Tomka chyba 14 czy 16 sztuk. Wszystkie wspaniałe. Gdy tylko byłem w Warszawie, jeszcze na początku naszej współpracy z jego ojcem, zachodziłem do Tomka, by sobie pokontemplować owych czternaście arcydzieł. Jeden tylko udało mi się od niego odkupić („Wąwóz z puszczelami”), choć próbowałem wielokrotnie. Tomek był upartym człowiekiem, z którym rozmowa na temat sprzedaży kończyła się wiecznym „nie”, mimo iż kusilem go zaproszeniem na piękną dwutygodniową podróż do Paryża, co za Komuny mogłoby uwieść niejednego. Nie uwiodło Tomka.



„Stożki”

Ten maleńki obraz był jednym z tych, które zobaczyłem na wystawie nieznanego mi wówczas Beksińskiego w łódzkiej BWA w 1976. Zrobił on na mnie tak wielkie wrażenie, że porównać je mogę tylko do tego, jakie zrobił na mnie następnie „Katyń”, gdy już poznałem się z Mistrzem. To właśnie wrażenie, wywołane tym właśnie obrazem, powodowało, że przez lata opowiadałem na prawo i lewo o niezapomnianej wystawie w Łodzi. Aż pewni znajomi w Paryżu powiedzieli mi, że wiedzą o kogo chodzi i pokazali mi posiadany przez nich jeden (zresztą nienajlepszy) obraz.

Te stożki z przykurczonymi niedobitkami półludzkich postaci, które przeżyły koniec świata... Obraz należał do Tomka i mimo wielu starań z mojej strony, nigdy nie zgodził się mi go odstąpić. To jest z pewnością najlepszy obraz z jego kolekcji. Po odejściu Tomka, Zosi i Mistrza obraz znalazł się w Sanoku. Bez wahania oddałbym za niego trzy spośród moich ulubionych.

Gdy byłem młody, zdarzało mi się upić. Bywało wtedy, że czułem jakbym leciał w bezdenną przepaść. Ten obraz wywołuje u mnie podobne wrażenie.



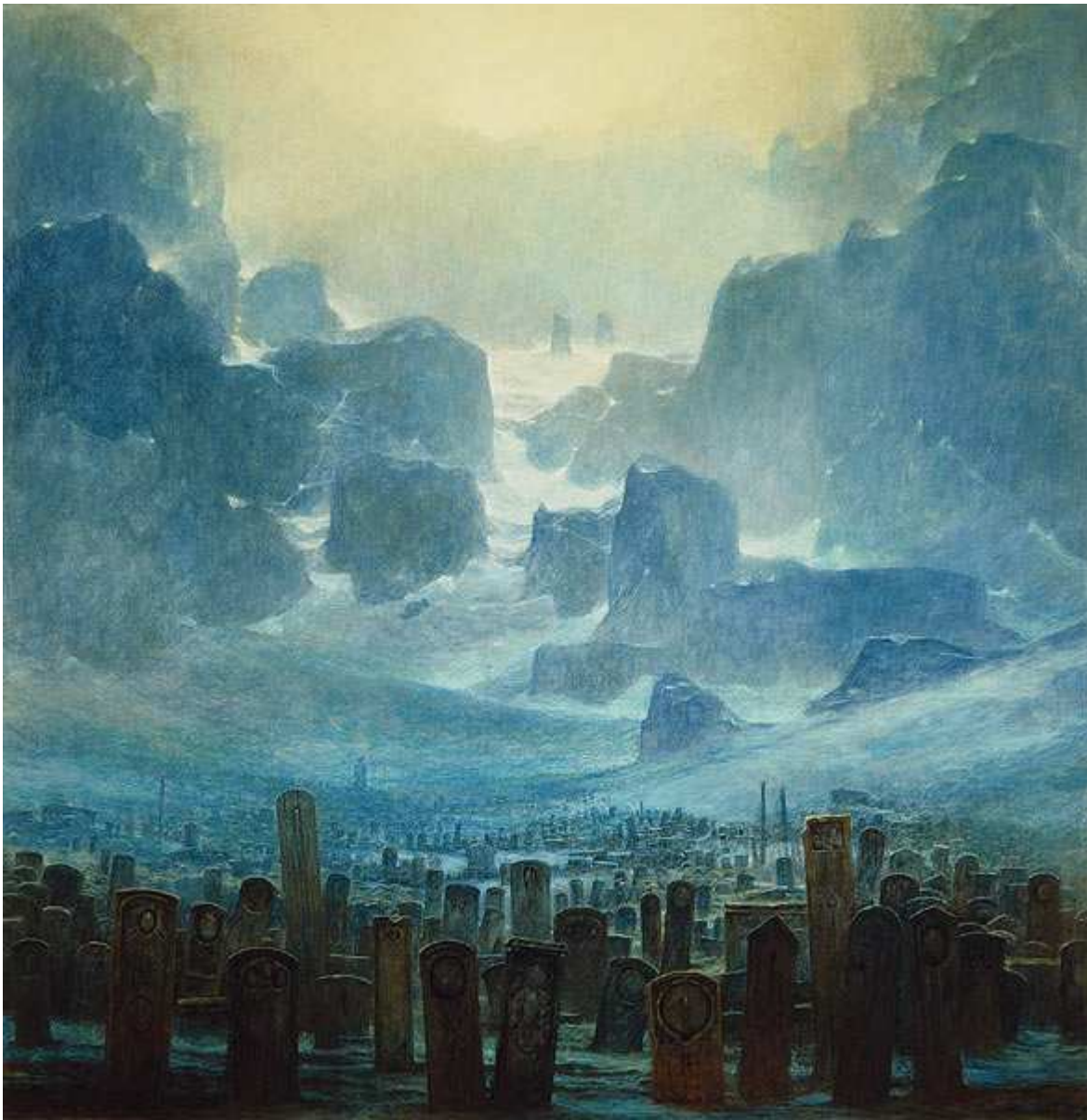
„Pale”

Ten obraz zobaczyłem po raz pierwszy w domu u Pani Elżbiety Dzikowskiej, dziennikarki i krytyka sztuki (jednego z nielicznych, jeśli nie jedyne z prawdziwego zdarzenia). Posiadała ona wielką kolekcję sztuki ultra nowoczesnej i choć nie bardzo do tej kolekcji pasował również i ten obraz Beksńskiego. Ilekroć odwiedzałem ją, bo stała się naszą bliską przyjaciółką, wpatrywałem się w ten obraz, marząc by mi się kiedyś dostał. I rzeczywiście, chcąc zdobyć pieniądze na zakup szkicownika malarza Panka, który wraz z resztą swej kolekcji przeznaczyla do muzeum w Toruniu, zapytała mnie kilka lat temu czy nie chciałbym obrazu kupić. Wprawdzie cena była dość wysoka, ale niedługo się zastanawiałem i go nabyłem. I tym samym zrobiłem dobry interes, bo jest to jedno z najwybitniejszych dzieł z okresu „fantastycznego”.



„Wawóz z piszczelami”

To jest jedyny obraz, który udało mi się kupić od Tomka Beksińskiego. Jak to już piszę gdzie indziej, miał on prawo wybrać sobie z produkcji rocznej ojca jeden obraz za darmo. I uzbierało się ich, o ile pamiętam chyba 14 czy 16. Wszystkie wspaniałe. W połowie lat 80-tych Tomek orzekł, że ojciec stracił talent i że maluje już tylko chały. Od tego czasu nie prosił już go o żadne nowe obrazy. Zresztą nie zmieściłby ich w swoim małym mieszkaniu. Wisiały one tam rządkiem jedno obok drugich na tym samym poziomie, wokół pokoju gościnnego. Gdy zaczynając współpracę z jego ojcem, starałem się wykupić jak największą ilość obrazów, nie tylko od niego samego ale i od osób trzecich, wielokrotnie proponowałem odkupienie kilku od Tomka. Niestety był to uparty człowiek i żadne moje zabiegi niczego nie wskórały. Aż tu pewnego dnia napisał do mnie, że potrzebuje pieniędzy, bo musi kupić płyty do swojej audycji radiowej (był prezenterem muzyki pop w radiu) i że gotów jest mi jeden obraz odstąpić. Ale nie dał mi wyboru i zaproponował tylko ten. Oczywiście skwapliwie się zgodziłem, choć wołałbym „Stożki” (patrz powyżej). Takich wawozów Beksiński w okresie fantastycznym namalował całą serię. Sam miałem ich kilka. O jednym z nich piszę poniżej. Ten jest szczególnie „silny” i piękny. Należy do tych, które przeznaczam do mego przyszłego wymarzonego muzeum Mistrza.



„Niebieski wąwóz”

To inny obraz z motywem wąwozu. Beksiński chciał go zatrzymać sobie, ale tak nalegałem by zrobił wyjątek, że w końcu odsprzedał mi go. Uczynił to chyba dla tego, że byliśmy na początku naszej współpracy i bał się, że odmowa mogłaby spowodować zgrzyt. Lecz kupiwszy obraz, nie poczułem do niego sympatii. W okresie poprzedzającym Japończyków, nic nie mogłem sprzedać. A tu w przeddzień ich przyjazdu wszedł do galerii młody człowiek, który (nareszcie!) chciał właśnie ten obraz kupić. Poza tym zjawiał się pewien Belg, który kupił tego dnia inny obraz Mistrza. Tak to już jest z losem: nie ma nic miesiącami, a nagle pojawia się cała grupa nabywców. Powiedziałem młodzieńcowi lojalnie, że musi zapłacić natychmiast, bo nazajutrz mam klientów z Japonii, którzy może będą chcieli obraz kupić. Stał bowiem wśród tych pięćdziesięciu kilku, które dla nich przygotowałem. Niestety chłopak nie miał przy sobie takiej sumy. Tak więc sprzedałem obraz następnego dnia Japończykom. A tu po południu młodzieniec zjawia się z pieniędzmi i prawie płacze dowiadując się, że obraz został rano sprzedany. Rzeczy są nieprzewidywalne. Jedyna zasada, której trzeba się trzymać w życiu to: „wytrwać”.



Ten wąwóz kupił w galerii Wahl Polański. Kiedyś go poznałem przez mego szwagra Stanisława Zylewicza i podczas wspólnego obiadu w jakiejś paryskiej restauracji zapytałem czy gotów byłby mi pomóc w lansowaniu Mistrza. Bowiem Nyczek, przyjaciel Beksa, poradził mi (a w tamtych czasach byłem jeszcze zupełnie zielony i skwapliwie słuchałem rad ludzi z „fachu”), bym do katalogu mojej paryskiej wystawy poprosił kogoś znanego we Francji o napisanie krótkiego tekstu wprowadzającego tego zupełnie nieznanego tam malarza. Toteż zapytałem Polańskiego czy mogę na jego pomoc w lansowaniu Mistrza liczyć. Po czym opowiedziałem to Beksińskiemu. Ten dostał wręcz szału ze złości, choć był to na ogół spokojny człowiek. Upokarzało go, że ktoś kto talentem nie dorastał mu do pięt, miałby o nim pisać. Dlaczego by nie Papież lub Wałęsa, pytał ze złośliwą drwiną? Był na mnie naprawdę wściekły. Wytykał mi to potem w wielu swoich wywiadach (na przykład w tym, którego udzielił Sarzyńskiemu do „Polityki”), określając to jako „kretyńskie pomysły Dmochowskiego”.

Dodam, że jedyną pomocą jakiej mi Polański udzielił, było zezwolenie na sfotografowanie w jego paryskim mieszkaniu dwóch obrazów Mistrza w celu jakiejś publikacji, o ile takową uda mi się sprowokować. Jednym z tych dwóch obrazów był

powyższy wawóz. Obraz bardzo piękny i niezwykle starannie wykończony. Fotografując go z moim fotografem, podpatrzyłem sposób w jaki Polański oświetlił oba obrazy kadrującymi spotami. Potem takie spoty wprowadziłem we wszystkich moich wystawach w „Valmay”, a następnie w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie.

Dość szybko udało mi się uzyskać dużą publikację o Beksińskim we francuskim „Penthouse”. W ramach tej publikacji pokazałem oba obrazy Polańskiego. Grzecznie mi za to podziękował i nigdy nie przyszedł nawet na wernisaż, mimo że wiedział, iż jego poparcie byłoby ogromnym atutem w moich poczynaniach. Bo francuska dziennikarska swołocz tylko węży gdzie by go tu sfotografować lub napisać o nim choć kilka słów. Jego sława w Paryżu jest ogromna i jednym gestem nadałaby moim wysiłkom poważne przyspieszenie. Niech go szlag trafi.



To jest drugi obraz Mistrza należący do Polańskiego i publikowany w „Penthouse”



„Czerwone drzewo”

To jest obraz, który, o ile pamiętam, kupiłem bezpośrednio od Beksińskiego na początku naszej znajomości wtedy, gdy to kupowałem od niego prawie wszystko co gotów był sprzedać (bo nie było to żadne z jego „zwierząt domowych”, o których wspominam przy okazji kilku innych obrazów, a które były konsekwentnie wykluczone ze sprzedaży). Wystawiłem go na sprzedaż na drugiej wystawie w 1986 roku w galerii „Valmay” i umieściłem jego reprodukcję na okładce katalogu tej wystawy. W galerii tego dnia siedział zamiast mnie mój przyjaciel, dziennikarz polski pan Leszek Kołodziejczyk, który dorabiał sobie w ten sposób do emerytury. Zadzwonił do mnie, że jest klient na ten obraz. Miał nim być jakiś właściciel galerii z Nowego Yorku, który jak mi Kołodziejczyk opowiadał, spędził długie kwadransy na oglądaniu obrazu z każdej strony, stale zachwycając się półgłosem jaki jest piękny. Ponieważ klient wyjeżdżał zaraz do Stanów, poprosiłem Kołodziejczyka telefonicznie, by zainkasował pieniądze i wręczył mu obraz. Po czym o wszystkim zapomniałem. Po latach dopiero zacząłem mieć wyrzuty sumienia, że obraz sprzedałem. Bo pamiętałem, że był wyjątkowo piękny i że czerwony obłok zapalał się w świetle słonecznym jak łuna pożaru. Toteż stosunkowo niedawno, chyba trzy lata temu, napisałem do tej galerii w Nowym Yorku czy ma nadal obraz i czy gotowa by była

odsprzedać mi go. Miałem akurat dość duży przyływ gotówki i wiedziałem, że stać by mnie było zapłacić nawet kilkukrotnie drożej, niż cena za jaką obraz sprzedałem. Otóż właściciel tej galerii odpisał mi e-mailem, że obraz ma nadal i że gotów jest go odsprzedać. Umówiliśmy e-mailami cenę i dosłownie szedłem do banku, by dać nakaz przelewu na konto Amerykanina, a tu dostaje e-mail, w którym oświadcza mi (tak trochę jak Ściegienny, w ostatnim momencie), że „nie myślę panu sprzedawać obrazu na pańskich warunkach”. Nie miałem wątpliwości, że coś się stało i że mowa o moich „warunkach” jest wykrętem. Toteż napisałem (tak jak swego czasu powiedziałem przez telefon Ściegiennemu) co o nim myślę. Lecz w kilka miesięcy potem byłem w Nowym Yorku w celach czysto turystycznych. No i zaszedłem do tej galerii (która specjalizowała się w malarstwie dawnym, a obraz kupiła dla siebie bez myśli o sprzedaży). Przedstawiłem się jako „znajomy Dmochowskiego”, Andrzej Kowalski. Bo wiedziałem, że gdybym po tym jak wygarnąłem Amerykaninowi za zerwanie umowy, przyznał się teraz do mego prawdziwego nazwiska, spotkałbym się z co najmniej wrogim przyjęciem. I jako Kowalski zacząłem negocjować od nowa sprzedaż obrazu. Cena była teraz niepomniernie wyższa niż ta, którą żeśmy ustalili kilka miesięcy wcześniej. Jednocześnie dowiedziałem się od gadatliwego Amerykanina dlaczego zerwał umowę: otóż w ostatniej chwili zajrzał on do Internetu i zorientował się, że Beksiński już nie żyje. A jak każdy handlarz obrazami wiedział, że w takich wypadkach ceny obrazów podskakują kilkukrotnie. Na dodatek zażądał teraz płatności nie w dolarach a w euro, bo te stały wysoko w stosunku do dolara. Zostawiłem mu sporą zaliczkę, ale nie miałem przy sobie tak znacznej sumy, by zapłacić całość. Po czym wróciłem do Paryża, natychmiast wyjąłem z banku pieniądze i już następnego dnia wróciłem do Nowego Yorku specjalnie, żeby zapłacić resztę. Obraz zabrałem ze sobą samolotem, po kłótni z celnikiem na lotnisku, który rozpakował go, by sprawdzić czy nie ma tam bomby.

Dziś obraz wisi nad moim biurkiem. Pięknie go opравиłem i przyrzekłem mu, że nigdy już go nie sprzedam nikomu.



„Madonna z dzieckiem”

Ten obraz kupiłem od Ściegiennego, chyba w 1983 roku. Ściegienny był pracownikiem naukowym uniwersytetu w Strasburgu. Jak mi o tym opowiadał, odkrył Beksieńskiego na wystawie w Teatrze Wielkim w Warszawie. To spotkanie zrobiło na nim tak silne wrażenie, że natychmiast wyszedł do znajdującej się obok restauracji w Hotelu Europejskim, żeby wypić duszkiem kilka wódek. Po czym, złapawszy równowagę, wrócił na wystawę. Pamiętam, że pani Afkami, która pierwsza w Paryżu kupiła ode mnie obraz Beksieńskiego, też opowiadała mi, że gdy zobaczyła moją wystawę w galerii „Valmay” w 1985 roku, nie mogła wytrzymać z emocji i musiała wyjść na ulicę na piętnaście minut, żeby ochłonać. Po czym wróciła. Otóż Ściegienny po powrocie do Francji, nawiązał kontakt listowny z Beksieńskim i zakupił od niego korespondencyjnie kilka znakomitych obrazów. Gdy związałem się z Mistrzem poprosiłem go, żeby mi podał dane wszystkich tych, o których pamiętał, że sprzedał im swoje prace. Tak było i ze Ściegiennym. Po czym, po krótkiej korespondencji pojechałem do niego do Strasburga i od razu zakupiłem dwa obrazy („Rozłożyste drzewo” o którym poniżej) oraz ten, który nazwałem „Madonna z dzieckiem”. Pokazywałem go na mojej pierwszej wystawie na ulicy Sekwany w 1985 roku i reprodukowałem go w katalogu, który jej towarzyszył. Ten też należy do

niezbywalnych i obecnie wisi nad moim biurkiem. Dodam, że ze Ściegiennym ściałem się potem, bo umówiliśmy się, że sprzeda mi jeszcze jeden obraz („Głowy - balony”). Gdy już wsiadałem do samochodu, żeby do niego jechać do Strasburga i sfinalizować transakcję, zadzwonił do mnie o piątej rano, żeby odwołać sprzedaż. Dziś żałuję, że się na niego wówczas zachnąłem, bo był chciwy i gdybym mu dyplomatycznie zaproponował wyższą niż umówiona cenę, to z pewnością obraz by mi sprzedał. A szkoda, bo był doskonały.



„Rozłożyste drzewo”

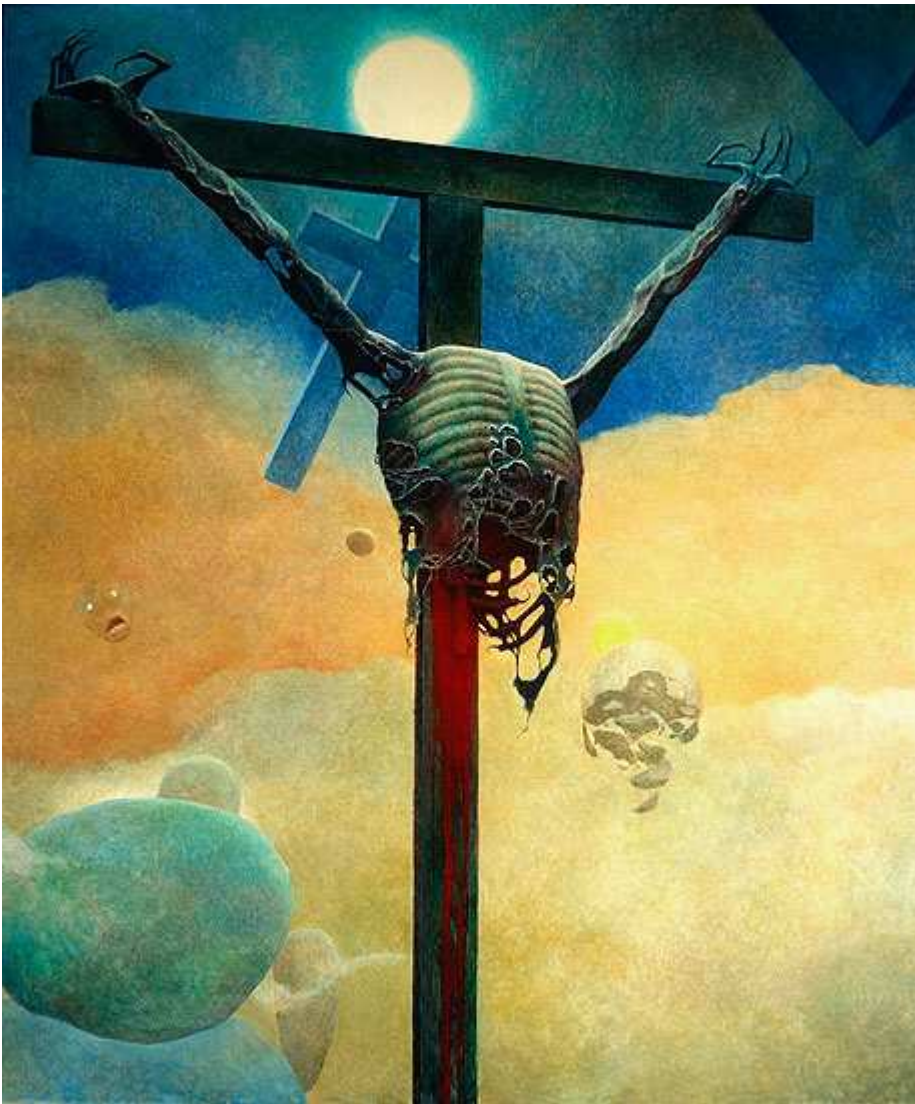
Ten obraz kupiłem od Ściegiennego gdy to, po nawiązaniu współpracy z Beksińskim, wykupywałem wszystkie obrazy jakie na polskim i niepolskim rynku krążyły. O zakupie u Ściegiennego i o nim samym piszę obszerniej pod obrazem „Madonny z dzieckiem”. Tak jak w wielu obrazach Mistrza, tak i tu, mimo złowieszce

atmosfery, kryje się mały żart. Tak więc na tym rozłożystym drzewie, na tle postapokaliptycznego krajobrazu siedzi sobie, dyndając wesoło nogami, maleńki człowieczek. Rzecz, której na reprodukcji się nie zauważa, ale którą odkrywa się zbliżając nos do obrazu.



„Głowy - balony”

To jest ten obraz, o którym mówię, że Ściegienny miał mi go odsprzedać i w ostatniej chwili się wycofał. Żałuję, że się na niego obruszyłem, bo obraz był piękny, w brązach, i gdybym Ściegiennemu poświęcił po oczach wyższą niż umówiona sumą, to z pewnością by go mi odstąpił. No trudno, obraz przepadł. Może się jeszcze kiedyś pojawi na rynku?



„Wielki krzyż”

Ten obraz ma całą historię. Po pierwsze jest większy od innych. Bo do spotkania ze mną Beksinski malował małe formaty, które były jak znaczki pocztowe. Największe mierzyły 120 cm na 99 cm. Ten zaś ma 135 cm na 145 cm. Tak więc wisiał w korytarzu w ich mieszkaniu, bo nie było absolutnie innego miejsca, gdzie można by go było uplasować. Ogromnie mi się podobał. Kupiłem go więc na pierwszą wystawę w galerii „Valmay”, która miała miejsce w 1985 roku. A na wystawie umieściłem go tuż przy samej witrynie. Robił na przechodniach magnetyczne wrażenie. Wyglądało to tak, że ktoś szedł ulicą, myśląc o swoich sprawach, bezwiednie rzucił okiem na widoczny z ulicy obraz, robił jeszcze dwa kroki, zdawał sobie sprawę, że zobaczył coś niezwykłego, cofnął się te dwa kroki i wszedł do galerii. Ten obraz ściągnął na moją wystawę kilka tysięcy gości, tak jest spektakularny, a zwłaszcza czytelny z daleka. W kilka lat później, mając znów nóż na gardle, sprzedałem go wraz z pięcioma innymi (w tym „Taniec szkieletów” i „Postać lewitująca” o których poniżej) pewnemu kolekcjonerowi z Tahiti. Kupił go korespondencyjnie, na podstawie zdjęcia, nie widząc go uprzednio w naturze. Po czym się na mnie trochę obraził, bo przy którejś z kolejnych sprzedaży poprosiłem go zaliczkę. Co uznał za dowód braku zaufania z mojej strony. Co z kolei ja uznałem

za brak profesjonalizmu z jego strony. Ale mniejsza z tym. Dość, że nasze drogi się rozeszły. Po wielu latach, pewnego dnia dostałem list od jednego z jego trzech synów, informujący mnie, że ojciec zmarł i że proponują mi odkupienie obrazów, które po nim zostały. Niestety nie miałem wówczas pieniędzy i musiałem z propozycji zrezygnować. Kilka lat temu, po rozpoczęciu szeroko zakrojonej akcji odkupywania obrazów Mistrza, które wcześniej posprzedawałem, odnalazłem w internecie dane tej rodziny na Tahiti i napisałem do nich, proponując im odkupienie obrazów. Zgodzili się i, o dziwo, zażądali ode mnie w euro tylko takiej ceny jaką zapłacił mi (jeszcze we frankach) ich ojciec. I w ten sposób odzyskałem „Wielki krzyż”. Po przylocie z Tahiti obraz został powieszony w korytarzu mojego mieszkania, bo tak jak u Beksiańskiego, było to w naszym małym mieszkaniu jedyne miejsce jeszcze wolne. I ilekroć przechodzę przez korytarz to spoglądam na obraz z zachwytem. Będzie on jedną z najważniejszych pozycji w moim wymarzonej muzeum Mistrza.



„Postać lewitująca”

To trzeci obraz odkupiony od synów Vognien. Obecnie wisi w moim pokoju, pod „Rozłożystym drzewem”, który kupiłem od Ściegiennego. Ponieważ jest bardzo ciemny, co ma tę dobrą stronę, że stwarza tajemniczą atmosferę, na to by być dokładnie obejrzanym, wymaga dużo światła. Toteż jest u mnie zawieszony naprzeciw okna i wspaniale go widać, gdy słońce zachodzi za widnokrąg i oświetla go swoimi ostatnimi promieniami.



Ten obraz został mi подарowany przez Beksieńskiego. Był to jeden z jego pierwszych namalowanych wtedy, gdy jeszcze nie znał dobrze techniki malarskiej. Toteż obraz nigdy na dobre nie wysechł. Prócz tego był w wielu miejscach mocno podrapany. Potem kupił go ode mnie Vognien z Tahiti. Jego synowie zdaje się sprzedali go, bo o ile sobie przypominam, nie było o nim mowy, gdy zwróciłem się do nich, by odkupić „Duży krzyż”, „Taniec szkieletów” i „Postać lewitującą”. Nigdy temu obrazowi nie nadałem nazwy.



Krzyż był jednym z naczelných motywów Mistrza, zarówno w okresie „fantastycznym” jak i później. Ten spotkałem u pewnego handlarza, zaraz po nawiązaniu współpracy z Beksińskim, gdy to wykupywałem wszystkie obrazy jakie znajdowały się na rynku. Tak trafiłem na owego sprzedawcę. Niestety cena jaką mi zaproponował, była nie do przyjęcia, bo za nią mogłem kupić od Mistrza trzy inne obrazy. Tak więc zrezygnowałem. A dziś tego żałuję, bo obraz jest niezwykle spektakularny. Nie wiem co się później z nim stało.



„Krzeseł”

To tak zwany „duży rozmiar” (132 x 98 cm). Wystawiłem ten obraz na wystawę pod tytułem „Soyez la camera” („Bądźcie kamerą”), która miała miejsce w Cannes w pięknej willi zwanej „Malmaison”, należącej do miasta Cannes. Wystawa miała miejsce w czasie Festiwalu Filmowego w maju 1986 roku i jej tytuł nawiązywał do tego wydarzenia. Ogromnie mi na tej wystawie zależało, bo były tam również wystawiane wielkie francuskie nazwiska. Niestety, jak się szybko przekonałem (bo pojechałem tam bronić filmu „Hommage à Beksinski”, który brał udział w Festiwalu), ludzie byli tak zaabsorbowani filmami, że prawie nikt nie wdepnął do „Malmaison” mimo, że jak mówiłem, owa willa dotykała budynku (dawnego, bo dziś już Festiwal odbywa się w nowej budowli), w którym odbywał się Festiwal. Potem ten obraz sprzedałem, już nie pamiętam komu.



„Żołnierskie szynele”.

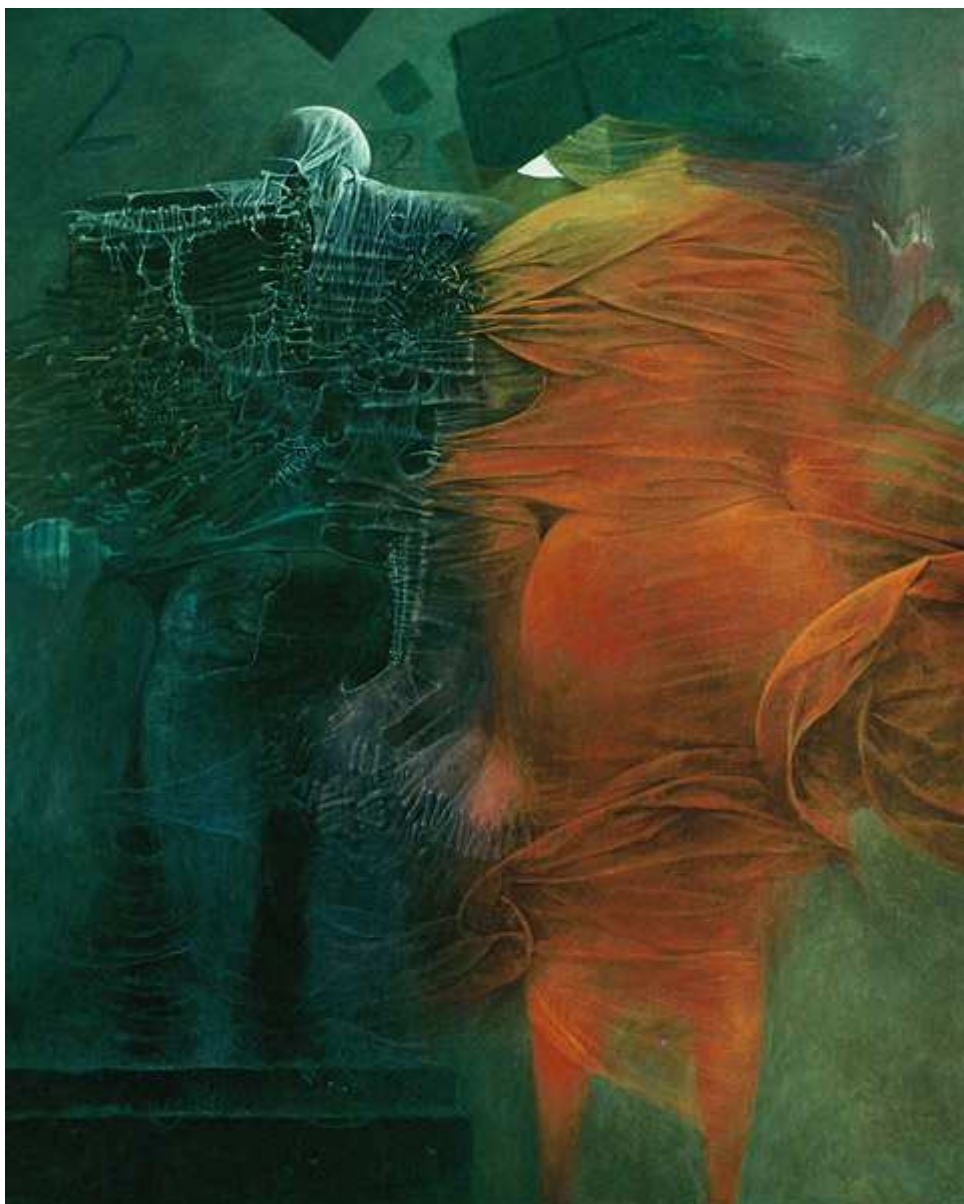
To jest drugi obraz Mistrza, jaki kupiłem na samym początku w 1982 czy 1983 roku w galerii Alicji Wahl, zanim jeszcze poznałem Beksińskiego. Pierwszym była głowa, której nie reprodukuje, bo była to bardzo marna praca. Oba kupiłem niejako „na próbę”, bo z jednej strony Beksiński wystawił je u Wahl za niską cenę, a z drugiej strony chciałem za niewielkie pieniądze sprawdzić jak zareagujemy w Paryżu na perspektywę dalszych zakupów. Ten obraz, mimo że jest nieco „plakatowy” i znajduje się na nim zupełnie moim zdaniem niepotrzebny samolot, zachowałem do dziś i ogromnie go lubię. To mały rozmiar (73 x 73 cm). Obecnie wisi w częstochowskiej Miejskiej Galerii Sztuki.



A to jest jeden z „dwutysięczników”, który zobaczyłem w galerii Wahl, gdy kupowałem „Żołnierskie szynele”. Był proponowany przez galerię za 2 tysiące dolarów. Ponieważ nie byłem jeszcze pewien siebie, toteż nie chciałem od razu kupować prac z „górnej półki”, a nabyłem tylko dwie najtańsze, by sprawdzić jak mnie i żonie będzie się z nimi żyło. Potem, gdy już zdecydowałem się na współpracę z Beksieńskim, było za późno, by obraz kupić od Wahlówny, bo w międzyczasie został sprzedany. Tego błędu nie mogę sobie do dziś wybaczyć, bo obraz był bardzo piękny. Tak samo było z obrazem pary odchodzącej, którą przedstawiam poniżej.

Dodam wreszcie, że dzisiejszemu czytelnikowi może się wydawać, że były to małe pieniądze i dziwić się, że Beksieński tak tanio sprzedawał swoje obrazy. Wręcz odwrotnie: były to KOLOSALNE pieniądze! Bo w Polsce Ludowej dolar był równy 100 złotemu. A przeciętna pensja urzędnika wynosiła 2000 złotych („Czy się stoi czy się leży, dwa tysiące się należy” mówiło się za tamtych czasów). Czyli biorąc za obraz, który malował przez około 10 dni, sumę 2000 dolarów Beksieński zarabiał za każdy miesiąc pracy 200 tysięcy razy trzy, czyli 600 tysięcy złotych. Inaczej mówiąc tyle, ile zarabiała w ciągu miesiąca sześćset przeciętnych rodzin w Polsce. Tak nie

zarabiał żaden dyrektor największego kombinatu, żaden minister czy reżyser filmowy. Beksiński z pewnością był najbogatszym człowiekiem w Polsce Ludowej, w której nikomu nie było wolno założyć przedsiębiorstwa i na tym się wzbogacić. To dziś dopiero pełno tam milionerów a nawet miliarderów. Wtedy nikomu nie wolno było finansowo wybić się ponad przeciętną. Z wyjątkiem Beksińskiego.



To też był „dwutysięcznik” (to znaczy obraz, który Beksiński uważał za wybitny i warty „podwójnej ceny podstawowej”. Wyjaśniam, że „podstawowa cena” była wówczas dla niego tysiąc dolarów. Obraz „Szynele” był wystawiony za „połowę podstawowej ceny”, czyli za 500 dolarów). którego nie kupiłem, gdy kupowałem w galerii Wahl moje pierwsze obrazy. Rzecz której gorąco dziś żałuję. Nie wiem kto go od Wahlówny kupił.

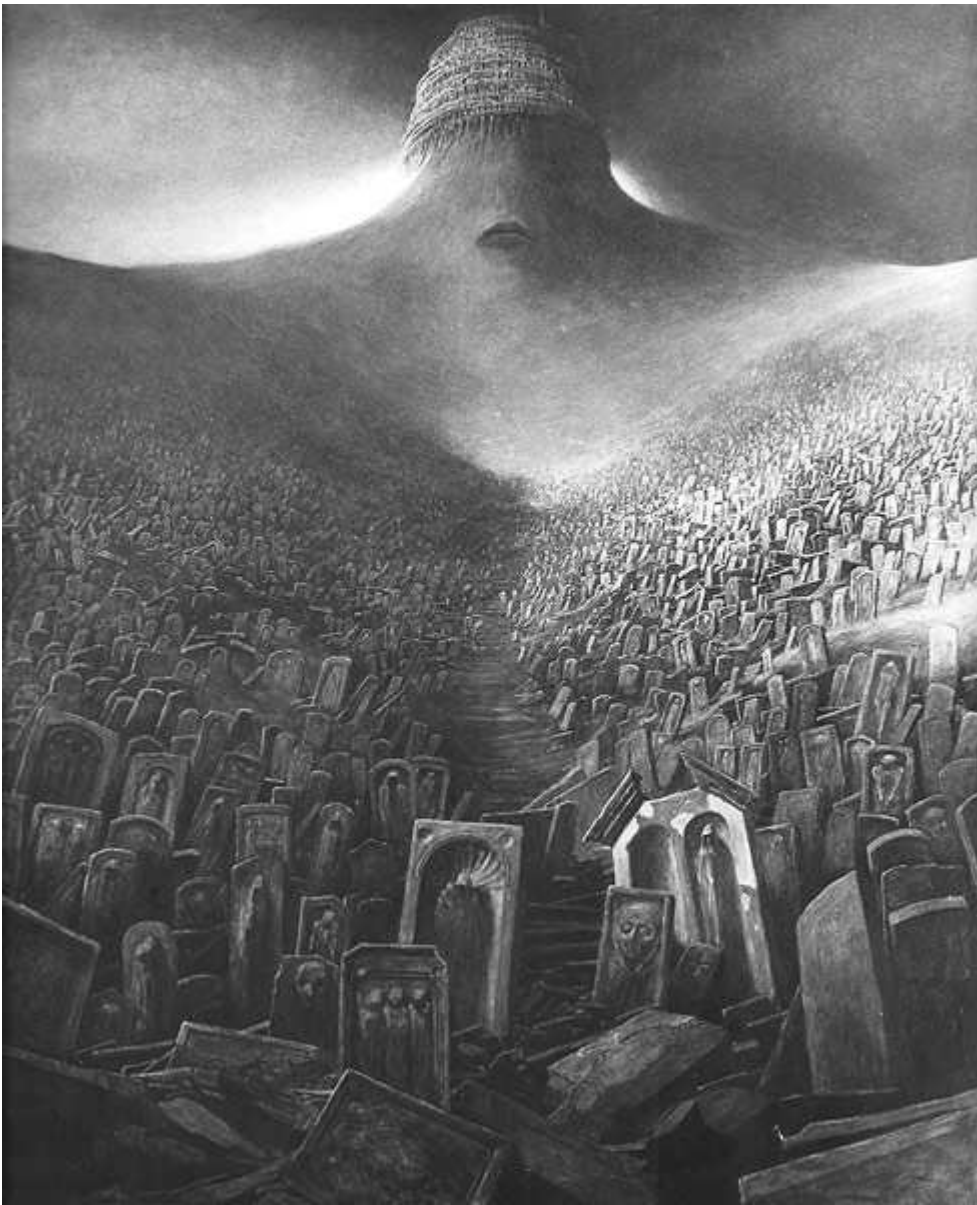


Z kolei to był pierwszy obraz, który udało się Beksieńskiemu sprzedać. Kupił go niejaki Banach (nie mylić z dyrektorem muzeum w Sanoku), który był chyba krakowskim dziennikarzem, promował Nikifora z Krynicy (napisał o nim książkę) i był kolekcjonerem sztuki erotycznej. Otóż ten obraz był namalowany w epoce, w której Beksieński odkrył swoje sadomasochistyczne zбочzenie seksualne i „wyżywał się” rysując (i już wtedy również malując) sceny kobiety znęcającej się nad związanym mężczyzną (jego marzeniem seksualnym było być tym torturowanym, a kobieta miała być piękną, długonogą dziewczyną mającą pięć doktoratów z Massachusetts Institute of Technology). Próbowałem od owego Banacha odkupić ten obraz, ale jemu było tylko w głowie sprzedać mi obrazków Nikifora, które mnie nie interesowały. Tak więc, podczas naszej rozmowy, gdy zorientował się, że mi ich nie sprzeda, po prostu zamilkł i przestał rozmawiać. Zadałem mu jeszcze kilka pytań, na które nie odpowiedział i na tym się nasze spotkanie w pewnym hotelu w Paryżu skończyło. Potem, gdy ukazała się moja publikacja w Penthouse, a pokazał mi ją Beksieński, Banach zaczął się przez telefon kajać, przepraszając mnie za lekceważenie, które mi okazał. Ów człowiek zapisał się jeszcze innym zdarzeniem w historii o Beksieńskim. Gdy zmarła mu żona, wymusił od Mistrza by ten, ze zdjęcia post

mortem, zrobił jej portret. Beksiński namalował zupełnie niepodobną do zmarłej twarz, a tak straszną, że sami się z panią Zosią jej przerazili. Od tego czasu nigdy już nikomu portretu nie zgodził się namalować.



Gdy kupowałem w galerii Wahl moje pierwsze dwa obrazy Mistrza, Alicja Wahl wręczyła mi nieostrożnie pięknie wydany kalendarz z dwunastoma jego obrazami. Ten był jednym z nich. Piszę, że galerzystka zrobiła mi ten prezent nieostrożnie, bo dzięki temu kalendarzowi mogłem wytestować reakcje mojego środowiska w Paryżu, co ostatecznie zachęciło mnie do zaproponowanie współpracy Mistrzowi. A ta współpraca znaczyła koniec tej, którą od lat Beksiński prowadził z galerią Wahl. Jednym słowem ten kalendarz przyczynił się do tego, że galeria Wahl straciła poważne dochody ze sprzedaży prac najbardziej dochodowego malarza jakiego miała „w stajni”.

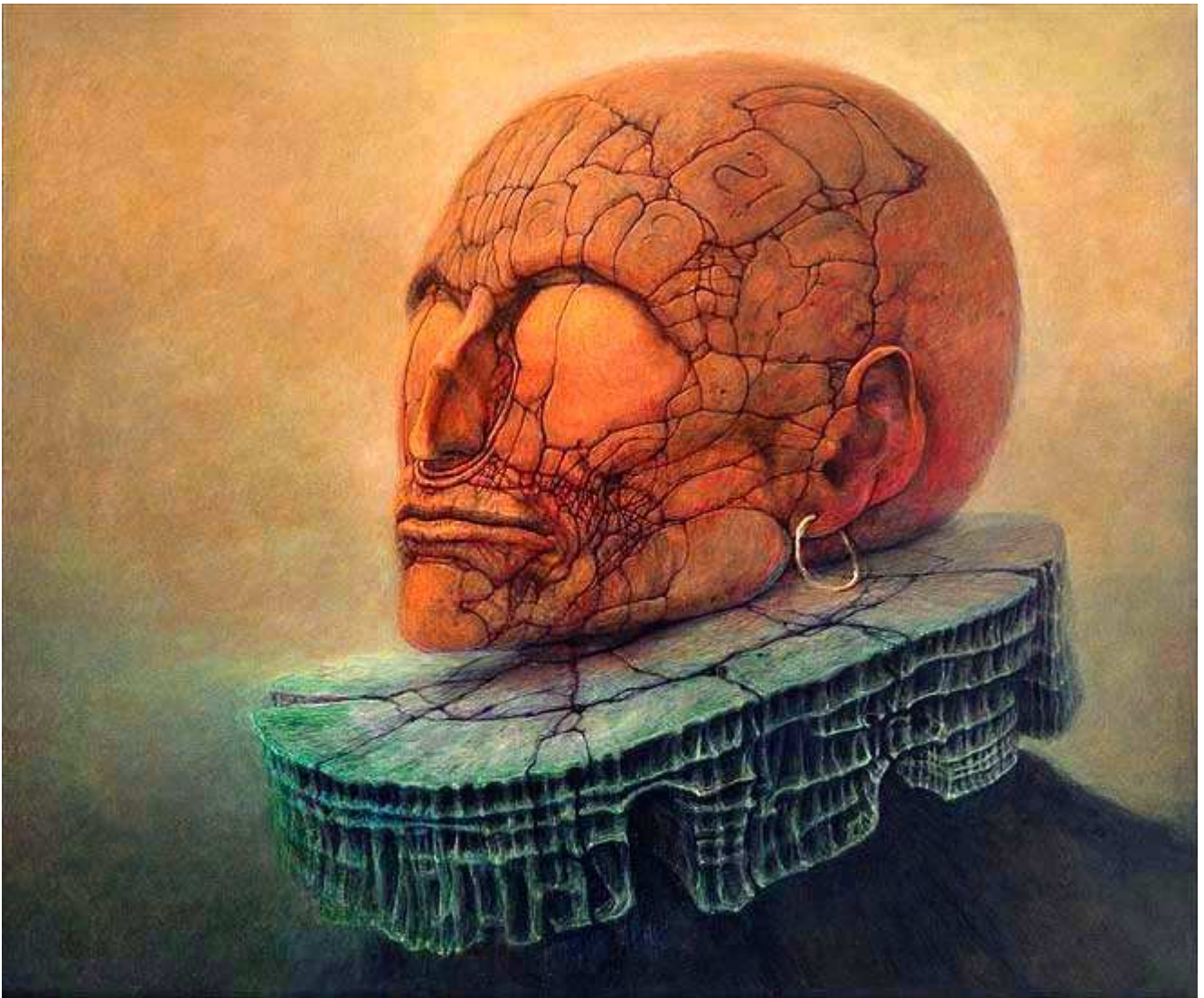


O ile pamiętam, to ten obraz został przez Beksieńskiego подарowany Boguckiemu, to znaczy krytykowi sztuki, który po raz pierwszy wystawił jego obrazy w Warszawie, w gmachu Teatru Wielkiego. Ja ten obraz chciałem od Boguckiego odkupić w ramach wykupywania wszystkich obrazów z rynku, gdy zacząłem lansowanie Beksieńskiego w Paryżu. Niestety Bogucki odmówił. Pamiętam, że obraz był bardzo ciemny i stanowczo wymagał werniksu.



„Oczy ze łzami”

Ten obraz sprzedał mi jeszcze za życia Mistrza pewien Polak za stosunkowo niewielką sumę. Nie widać tego na czarno-białej reprodukcji, ale z oczu płyną krwawe łzy. Wydawał mi się zawsze łatwy i bez wyrazu. Toteż bez żalu go sprzedałem, już nie pamiętam komu.



„Głowa z kryzą”.

To też jeden z tych obrazów, w których, ironizując, Beksziński nawiązywał do wielkich Holendrów z XVII-go wieku. Tak jak u „Żyda” (patrz wyżej) kryza jest tu mrugnięciem oka w kierunku dawnych mistrzów. Oczywiście Beksziński nie mógł namalować skądinąd tragicznego obrazu, nie wplatając weń choćby jakiegoś małego żartu. Dodam, że tak jak w „Kapuścianej głowie”, oczy tego portretu żarzą się w półmroku, choć, jak podkreślam, nie są namalowane żadną specjalną farbą, a tylko właściwy dobór kontrastujących pigmentów powoduje ów efekt.



Ten obraz był tym, dzięki któremu dowiedziałem się, kim jest Beksinski. Byłem z żoną u znajomych Polaków mieszkających pod Paryżem i w czasie kolacji zacząłem opowiadać zebranim gościom o niezwykłym malarzu, którego prace zobaczyliśmy z żoną kilka lat wcześniej w Łodzi na wystawie w BWA. Na co pani domu powiedziała mi: „wiem o kim mówisz. Ten człowiek nazywa się Beksinski i my mamy jego dwa obrazy”. Po czym zaprowadziła mnie na piętro i pokazała właśnie ten i jeszcze jakiś inny. Powiedziała mi również, gdzie w Warszawie mogę zobaczyć inne jego obrazy, to znaczy w galerii Wahl. To właśnie po zobaczeniu tego obrazu, ukułem zamiar pojechania do Polski i spotkania się z Mistrzem, by coś od niego kupić. W kilkanaście dni potem byłem już w galerii Wahl i kupiłem tę głowę, o której wspominałem wyżej i „Żołnierskie szynele”. Chciałem, by Wahl dała mi adres Beksinskiego. Oczywiście zataiła go twierdząc, że to jest człowiek słabego zdrowia, a który ma fobię spotykania ludzi. Na szczęście, tuż przed wyjazdem do Paryża, będąc w gościach u kogoś, zapytałem czy mają książkę telefoniczną (w Polsce Ludowej mieć telefon, a na dodatek książkę telefoniczną było rarytasem). Na szczęście owi znajomi mieli książkę, a ja znalazłem w niej, wcale się nie kryjącego za zastrzeżonym numerem, Beksinskiego, jego adres i jego telefon. Po czym, jeszcze z tego telefonu u znajomych, zadzwoniłem do niego i tak się zaczęła nasza znajomość.

Powyższy obraz jego właścicielka sprzedała mi kilka lat później, a ja sprzedałem go dalej. Nie wiem co się z nim stało. Przeszkadzał mi w nim ten promień łączący oczy znajdujących się na nim postaci.



"Para mumii".

Wisi u mnie w korytarzu. Zrobiłem z niego logo mojej internetowej galerii i wszystkich moich wydawnictw, nawet naukowych. Był on również na afiszu reklamującym moją pierwszą wystawę Beksieńskiego w Paryżu w 1985 roku. Ten afisz był wydrukowany w dwóch wersjach rozmiarowych: w dużej (2,5 metra na 2 metry) i ten wisiał w szeregach po dziesięć w rzędzie na kilkunastu stacjach metra paryskiego, oraz w małej (75 cm x 50 cm). Ten ostatni był przyklejony do wielu witryn sklepowych po całym Paryżu (tu jest taki zwyczaj i właściciele sklepów dość łatwo się na to godzą, zwłaszcza jeśli wystawa ma miejsce w tej samej dzielnicy). Oczywiście ten obraz ma zawisnąć na poczesnym miejscu w muzeum Mistrza, które mi się marzy.



Ten obraz, którego nigdy nie nazwałem, kupiłem od pewnego Polaka, jakieś pięć czy sześć lat temu. Wisi w pokoju mojej żony, obok „Chichotu króla” i „Popiersia z perełkami”. Pomysł jest zbliżony do „Nóg na krześle”, ale chyba nie jest równie ekspresywny jak tamte (patrz poniżej)



„Nogi na krześle”.

Ten niesamowity, tragiczny obraz Mistrza, jeden z najmocniejszych jakie namalował, był wystawiany w galerii „Valamy” na mojej pierwszej (1985) wystawie. Często skarżyłem się Mistrzowi, że nogi są na nim namalowane byle jak, jak drewniane kołki. Na co Beksziński odpowiadał mi, że „Panu Bogu nogi się nie udały”. Nie był to przypadek, bo na wielu innych obrazach nogi u Mistrza są namalowane jakby pośpiesznie, bez wyrazu, kołkowato. Toteż daleko bardziej lubił on malować ręce, a ściślej mówiąc dłonie. Umieściłem ten obraz na okładce katalogu, który towarzyszył tej pierwszej francuskiej wystawie. Robiąc to, chyba popełniłem błąd, bo tak jak wszyscy gratulowali mi wyboru „Pary mumii” na plakat, tak wielu się skarżyło, że ten jest „za mocny” jak na pierwszą wystawę Bekszińskiego w Paryżu, Paryżu wychowanym na słodkich nenufarach Moneta i na pucołowatych, różowych panienkach Renoira. Gdy poszedłem do Centrum Pompidou proponować kupno mojego filmu „Hommage à Beksinski”, zabrałem ze sobą katalog z „Nogami na krześle”. Opisałem to zdarzenie dość szczegółowo w „Zmaganiach...”, toteż już do tego nie będę wracał. Przypomnę tylko, że panna Breteau, która była odpowiedzialna za zakup filmów o sztuce do Centrum, mało nie dostała ataku paniki, gdy zobaczyła

okładkę mego katalogu. Stale zakrywała krzesło dłonią i mówiła „sam horror, sam horror”.

Dodam wreszcie, że Hans Hartel wybrał ten obraz na duży plakat wystawy jaką z moich obrazów zrobił w swoim muzeum we Freising koło Monachium. Przyznam, że plakat robił duże wrażenie, gdy się go nagle odkrywało spacerując po ulicach.

Beksiński kilkakrotnie proponował mi wymianę tego obrazu na różne inne, które miał prawo zachować dla siebie, bo tak jak ja uważał go za wybitny. Na co oczywiście nie zgodziłem się. Ma on zawisnąć w moim wymarzonym muzeum Mistrza. Na razie wisi w częstochowskiej Miejskiej Galerii Sztuki.



„Kłoszard na ławce”. To z tego obrazu pani Zosia chciała bym zrezygnować, ponieważ był jej bliski. Uważała, że to ona sam siedzi na tej ławce, wieczorem, zmęczona po całym dniu zajmowania się dwoma umierającymi matkami, synem, który przychodził

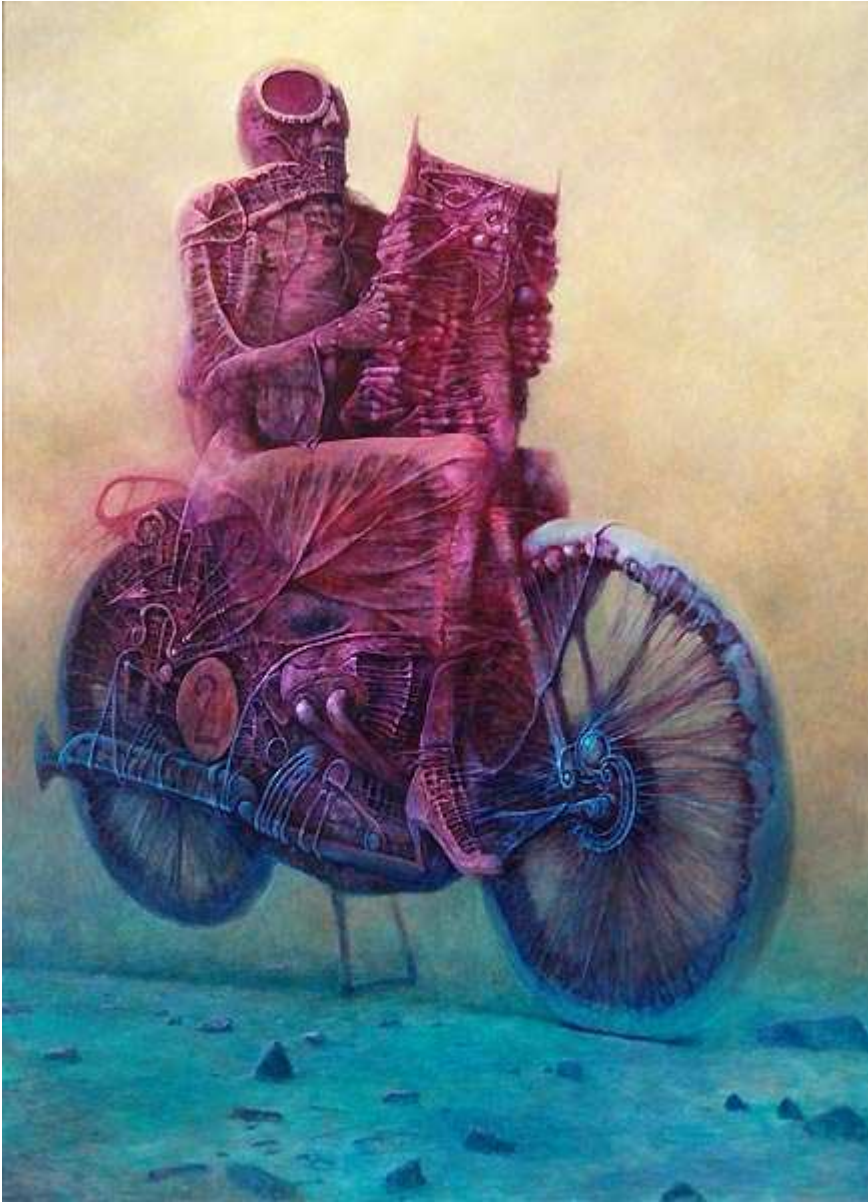
do rodziców codziennie na obiad i awanturował się, a wreszcie zajmowaniem się mężem. Na co, jak piszę o tym powyżej, zaproponowałem jej wymianę na obraz „Niebieskiej altany” (który do niej należał i był zaliczany do ich „zwierząt domowych”). Ponieważ nie zgodziła się, do wymiany nie doszło.

Z tego obrazu chciałem zrobić serigrafię, która miała towarzyszyć drugiej (czy trzeciej? Już nie pamiętam) wystawie w „Valmay”. Ale zakład, który miał to zrobić, po prostu nie dotrzymał terminu, tak iż przez moment miałem ochotę podać ich do sądu za niewykonanie powierzonego dzieła. Potem dałem spokój i zadowolilem się wydrukiem tego obrazu na papierze w dużym rozmiarze (ale nie w proporcjach 1 do 1, czego dziś żałuję) w 80-ciu egzemplarzach, które ponumerowałem i podpisałem Beksiński. Dziś obraz znajduje się u mnie i jest przeznaczony do zawiśnięcia w wymarzonej muzeum Mistrza.



„Facet w puszcze”

To jeden z obrazów należących do „odgrzanych kotletów”, czyli do serii którą namalował Mistrz umyślnie na pierwszą wystawę w Paryżu. Był więc wystawiony w 1985 roku w galerii „Valmay”, a potem filmowany w „Hommage à Beksinski”.



„Cyklista”

Tego „Cyklistę” kupiłem od Beksińskiego wraz z wszystkimi tymi („Wanna”, „Dama z piersiami”, „Katyń” etc.), które były pokazywane na pierwszej wystawie w galerii „Valmay” w 1985 roku. Lecz o ile pamiętam, to nie wystawiłem go wtedy. Natomiast w kilka lat potem wystawiłem go na Salonie majowym jedynym, który coś znaczy w Paryżu i opowiadam o tym w „Zmaganiach...”. Toteż odsyłam tam czytelnika, by zapoznał się z przyjęciem z jakim obraz się spotkał ze strony Pani Selts, zarządzającej tym salonem. Mimo że był pięknie namalowany, to nigdy go nie polubiłem przez to, że element groteski był w nim tak ewidentny. Toteż sprzedałem go pewnemu kolekcjonerowi z Warszawy, temu samemu któremu sprzedałem również (i tu mam żal do siebie, bo był to jeden z tych trzynastu, których nie powinienem był nigdy wypuszczać z ręki) „Wannę”.



„Dama z piersiami”

Tę „Damę z piersiami” kupiłem, tak jak „Cyklistę”, „Katyń” czy „Wannę”, wśród pierwszych moich kilkunastu zakupów od Beksieńskiego. Namalował je on specjalnie na paryską wystawę. Jak mi potem opowiadał, w tym okresie chciał już odejść od malarstwa „fantastycznego”, ale wchodząc ze mną we współpracę pomyślał, że w Paryżu jeszcze nikt go nie zna, toteż może sobie pozwolić na „odgrzanie kilku kotletów”. Stąd powstała wspiana seria obrazów, którymi zabłysnąłem (lecz nic nie sprzedałem) na pierwszej mojej wystawie w galerii „Valmay” w 1985 roku. Jednocześnie reprodukcję „Damy z piersiami” umieściłem na tylnej okładce katalogu, który towarzyszył tej wystawie. Beksieński miał do mnie żal, że na reprodukcji drukarz obciął kilka centymetrów z dołu obrazu. Nie byłem temu winny, bo oczywiście nie pozwoliłbym na to. Lecz poczułem się odpowiedzialny za to, że nie zauważyłem błędu na czas i nie skorygowałem go. Mistrz porównywał to ucięcie kilku centymetrów z dołu, do ucięcia całego finału z symfonii. Bo często czerpał porównania z muzyki, której, jak każdy to wie, słuchał pracując. Piszę to, aby czytelnik pamiętał, że dla Beksieńskiego, nawet gdy malował figuratywną fantastykę, zawsze najbardziej liczyła

się kompozycja. Toteż ucięcie nawet małego skrawka z obrazu, mimo że nie dostrzegalne dla widza (który zazwyczaj widzi w jego obrazach anegdotę a nie kompozycje) było dla Mistrza niedopuszczalnym błędem. Twierdził, że wtedy rozumiał, że „z tej mąki nie będzie chleba”, czyli że nic nie wyjdzie ze współpracy z człowiekiem popełniającym tak kardynalne błędy. Wydawało mu się, że ja po prostu „nie widzę” obrazu. Rzecz którą gotów był wybaczyć widzowi, ale nie mnie.

„Dame z piersiami” sprzedałem po pierwszej wystawie pewnemu architektowi z Marsylii. Zrobiłem to dla pieniędzy, ponieważ byłem winny Beksińskiemu za wzięte na kredyt obrazy, a on, wściekły na mnie po nieudanej (finansowo) wystawie, szantażując mnie, wyraźnie napisał, że jeśli nie zapłacę w terminie, zerwie ze mną układy. Tak więc sprzedając „Dame z piersiami”, nie poczuwałem się do winy. Niemniej obrazu żałuję, bo był jednym z tych trzynastu czy czternastu, których nie powinienem był nigdy sprzedawać. Kilka lat temu napisałem do owego architekta, że chciałbym obraz odkupić. Wahał się przez chwilę, ale potem, mimo że proponowałem poważną cenę, odmówił.



Zdziwię zapewne czytelnika tym, że ten dla mnie wręcz brzydki obraz, Beksieński uważał za jeden ze swoich najbardziej udanych. Dostał się w on moje ręce normalną koleją rzeczy, wynikłą z naszej współpracy. Potem już po jej zerwaniu, ponieważ za dawnych czasów zakupiłem kilka obrazów, których nie lubiłem, zaproponowałem Beksieńskiemu wymianę. Dawałem mu po dwa, których nie lubiłem za jeden taki, który mi się podobał. Tak wymieniliśmy dość dużo obrazów. W tym również i ten. Z tym, że po wymianie po prostu zapomniałem, że mam mu jeszcze zwrócić tę postać. Potem Beksieński napisał do mnie w którymś liście, że go już nie chce. Po czym, tuż przed śmiercią, przypomniał mi o nim, zapominając prawdopodobnie, że w międzyczasie sam z niego zrezygnował. Toteż zobowiązałem się mu obraz oddać. Po morderstwie powiadomiłem dyrektora Banacha, że należą mi się w schedzie dwa obrazy (co opisałem poniżej), ale że ja z mojej strony jestem winien w schedzie ten obraz. Ja swoje zobowiązanie wykonałem i obraz oddałem. Banach nigdy nie oddał mi dwóch tych, które mnie się należały. A gdy mu wytoczyłem o to proces, lokalny sędzia - patriota przysądził je Sanokowi.



Ten obraz jest tym, o którym opowiadamy w „Zmaganiach...”, że Beksinski na to by mi dopiec, podarował go komuś ze swej rodziny w Niemczech. Bo jak to już wielokrotnie wyjaśniałem, podczas naszej współpracy miał on prawo zachować dla siebie pięć obrazów dowolnie przez siebie wybranych. Na początku popuszczał mi i sprzedawał mi wszystko, niczego dla siebie nie zachowując. Ale gdy stosunki się pogorszyły zaczął ostro przestrzegać tego postanowienia naszej umowy. Na tym obrazie ogromnie mi zależało i prosiłem go, by mi go jednak sprzedał. Z dużą dozą satysfakcji zaanonsował mi, że właśnie da go jakiejś swojej pociotce z Hamburga. Gdy już po zerwaniu naszych układów, stosunki znów się polepszyły, zapytał mnie, chyba w 2004 roku, czy nadal zależy mi na nim, bo pociotka z Hamburga chce go sprzedać. Oczywiście rzuciłem się na okazję i po krótkich targach z pociotką na temat ceny obraz zakupiłem. Odebrałem go w Niemczech w połowie drogi między Paryżem a Hamburgiem, w jakimś hotelu, w którym umówiliśmy się na spotkanie, by dokonać transakcji.



„Kierunkowskaz”

To też jest obraz namalowany na pierwszą wystawę paryską, lecz którego na tej wystawie nie zawiesiłem. Bo od początku nie podobał mi się przez to ogromne, kołkowane udo bez wyrazu, znajdujące się na pierwszym planie oraz przez te zdobienia, którymi główna postać jest obwieszona (nie mówiąc o hełmie z puszki konserwowej). Na moje zapytanie po co ten męski członek w wzwodzie, Beksiński upierał się, że ma on wskazywać kierunek. Mocno mnie to rozśmieszyło i nazwałem obraz „Kierunkowskazem”. Bez żalu sprzedałem go przez galerię Wahl.



„Trąba słońca”

Jestem przekonany, że nikt nie odgadłby czemu nazwałem ten obraz „Trąba słońca”. Otóż pod głową postaci idącej są namalowane dwie ukośne linie, które nieodparcie przypominają mi nasadę trąby u słonia. Zwierzyłem się z tego obsesyjnego skojarzenia Mistrzowi, który, przynajmniej tak mi się wydawało, był nawet skłonny coś tam potem zmienić, by mnie od tej obsesji uwolnić. Ale to wymagałoby przywiezienia obrazu do Polski z Paryża. Tak więc zrezygnowałem z namawiania go do zmian. Ten obraz trzeba zobaczyć w naturze, bo głowa starca u nóg postaci ma niezwykle przenikliwy wzrok, czego na reprodukcji nie widać. Kiedyś wypożyczyłem ten obraz na jakiś salon paryski. Zwrócono mi go szczelnie opakowanego w plastik z bąbelkami. Nieostrożnie zaniechałem natychmiastowego rozpakowania, by sprawdzić czy nie ma uszkodzenia. Zrobiłem to dopiero w domu i zorientowałem się, że w obrazie jest dziura - na szczęście w tle a nie w postaciach. Również na szczęście moja znajoma konserwatorka tak to naprawiła, że nie ma śladu. Ale już nigdy potem nie odbierałem kota w worku bez dokładnego sprawdzenia. Beksiński opisał mi jak na którejś wystawie w Polsce, porobiono mu dziury w kilkunastu obrazach. A wymagało to specjalnych wysiłków, bo Mistrz malował na płycie pilśniowej, którą utwardzał specjalnymi żywicami. Tak więc trzeba było się mocno namęczyć, żeby zrobić dziurę.

Od tego czasu przestał uczestniczyć w polskich wystawach. Po tym co mi opowiedział, myślałem, że to tylko rodacy są zdolni do takiego traktowania dzieł sztuki. Okazało się, że Francuzi nie są gorsi. Dziś obraz wisi w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie.



Ten obraz Beksiński nazwał „Idąc do głosowania”. O ile pamiętam dlatego, że skończył go w dniu jakiś wyborów. Ja nie dawałem mu żadnej nazwy. Odkryłem przez przypadek, że Beksiński bardzo go cenił. Rzecz o której nie wiedziałem, gdy mi się dostał w ramach naszych układów. Bo kilkanaście lat temu, jeszcze za jego życia, urządziłem wystawę jego 80-ciu obrazów w Warszawie w Muzeum Archidiecezji. Przed wernisażem, tak by nie natknąć się na tłum, bo tego nienawidził, Beksiński przyszedł wraz z żoną, zobaczyć jak to wygląda. Po chwili pani Zosia podeszła do mnie i z żalem poskarżyła się, że „Zdzicho jest rozczarowany, bo najlepszych jego obrazów tu nie ma”. Przytoczyła właśnie „Idąc do głosowania”. Po czym, po kilku minutach, gdy już Beksiński obejrzał wszystko i zobaczył go wśród innych, powróciła do mnie i przeprosiła mówiąc, że jednak ten na którym mężowi zależało jest.



„Czarnobyl”

Ten obraz, dużego formatu (133 x 98 cm), reprezentował na afiszach rozklejanych na dziesiątkach witryn sklepowych w Paryżu, moją trzecią wystawę Beksinińskiego w galerii „Valmay” w 1988 roku. Było to świeżo po katastrofie w Czarnobylu i ten uciekający tłum obdartych rodzin ze złowieszczą figurą potężnej postaci w centrum, kojarzył się nam, żonie i mnie, z losem tych wszystkich Ukraińców, którzy na gwałt musieli uciekać z okręgu tego miasta. Dziś można by go nazwać „Fukushima”. Obecnie znajduje się w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie.



„Katyn”

Ten obraz nazwałem „Katyniem”. Beksiński określał go jako „Faceci w dołku”. Uważam (a on też), że jest to jego najwybitniejsze dzieło. Kupiłem go na samym początku znajomości z nim. Beksiński wprawdzie chciał go zachować dla siebie. Ja zaś mocno nalegałem, by mi go sprzedał. Ponieważ w tym momencie nie bardzo ześmy się jeszcze znali, bojąc się prawdopodobnie, że może być zgrzyt i że całą naszą współpracę diabli wezmą, po chwili wahania sprzedał mi go. Wiem, że później, gdy już się do mnie przyzwyczaił i przestał się mną przejmować, na pewno by mi go nie sprzedał. Tak więc miałem szczęście, że zbieg okoliczności spowodował, że obraz dostał się w moje ręce.

Pokazałem go na mojej pierwszej wystawie w „Valmy” w 1985 roku i reprodukowałem go w katalogu, który jej towarzyszył. Z góry wiedziałem, że nigdy się z nim nie rozstanę. Toteż na tej wystawie nie był on nawet proponowany do sprzedaży. Przez lata wisił u mnie w pokoju. Wielokrotnie również pokazywałem go w mojej galerii w Paryżu na rue Quincampoix. Potem przekazałem go wraz z 49-ciomą innymi do Częstochowy, gdzie wisi obecnie (2011 rok) w tamtejszej Miejskiej Galerii Sztuki.

Gdy zdarzyła mi się przygoda z Japończykami, o której opowiedziałem w epilogu „Zmagań...”, po zakupie 58-miu (czy 59-ciu już nie pamiętam) innych, uprosili mnie bym, jeśli już nie chcę go sprzedać, choć im go pokazał. Przyjechali w piątkę do mnie do domu i fotografowali się po kolei obok „Katynia”, proponując mi za niego „cena jaka Pan wyznaczy”. Ponieważ w tym samym momencie zakupili ode mnie cztery inne obrazy Mistrza po 100 tysięcy dolarów każdy (zapłacili potem i kupili tylko jeden), śmiem sądzić, że gdybym od nich zażądał za „Katyn” trzysta tysięcy, to też by przystali. Lecz nie było mowy o tym, bym uległ. Ci sami Japończycy reprodukowali ten obraz na okładce katalogu ich muzeum w Osace.

Natomiast dodam, że chciałem ten obraz podarować Papieżowi Janowi Pawłowi II do muzeum watykańskiego. Moja oficjalna, pisemna propozycja została jednak odrzucona, a kuria watykańska zaproponowała mi, że mogę obraz ofiarować do magazynu prezentów i pamiątek jakie lud polski składał Papieżowi podczas pielgrzymek. Tak więc Papież się na mnie wypiął. I chwała Bogu. Bo byłbym się pozbył największego, najbardziej skrzętego się diamentu z mojej kolekcji.

Z tym obrazem łączy się jeszcze inna anegdota: Swego czasu zaprosiłem na kolację dwóch miłych znajomych z Częstochowy będących przejazdem w Paryżu do restauracji, gdzie sporo żeśmy wypili. Rozmowa zesłała na ten właśnie obraz. Ponieważ opowiadałem moim gościom, że paryski establishment zarzuca mi „anegdotyczność”, w pijackim uniesieniu pogroziłem, że każę go spalić wraz z moimi zwłokami, tak by nie dostał się nikomu, bo nikt na niego nie zasłużył. Obaj mili panowie natychmiast po powrocie do Polski opowiedzieli to wszystko Beksińskiemu. Ten, jak mi napisał, nie spał całą noc. Po czym wysłał do mnie wściekły list, w którym zaklinał się, że choćbym go na kolanach prosił o sprzedaż jakiegoś dalszego obrazu, to już nic mi nigdy nie sprzeda. Tak przejął się tą opowieścią. Na szczęście, choć bardzo mu zależało na uchodzeniu za człowieka stanowczego i konsekwentnego, bardzo szybko zdrowy rozsądek przemówił. Tak iż po pół roku „boczenia” się na mnie, zaczął nadal sprzedawać mi dalsze obrazy.

Ponieważ od samego początku zdawałem sobie sprawę z wagi „Katynia”, zwróciłem się do Mistrza by mi opowiedział na piśmie, tak by zostało to dla następnych pokoleń, jak do jego namalowania doszło. A otóż list jaki do mnie na ten temat wystosował:

Obraz, o którym mam pisać. A więc zadał Pan pytanie w stylu "Nje widyeli wy Krassnoarmyeytzeff". W stylu, który opisałem w poprzednim liście. Sto pytań pod pozorem jednego. W roku 1982 po usłyszeniu w "Wolnej Europie" jakiejś audycji na temat Katynia, pożyczyłem od znajomego wydaną chyba w Londynie przed wielu laty książkę pt. bodajże "Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów" - właściwie sprawę

znałem stosunkowo dobrze od czasów okupacji, a teraz chodziło o powtórne zweryfikowanie niektórych wyobrażeń na ten temat. W trakcie lektury [był to początek 1982, stan wojenny i odpowiednia atmosfera do lektury] w trakcie niektórych fragmentów zaczął mi się pojawiać obraz tego, co chciałbym namalować, mimo, iż początkowo biorąc książkę do ręki nie miałem w ogóle zamiarów artystycznych związanych z lekturą. Pierwsza wersja tego, co namalowałem ma format poziomy 73 x 87 i została sprzedana przez galerię Wahl (chyba) zaraz w 1982 lub na początku 1983. Był to obraz całkowicie nieudany, stojące postacie w hełmach i szynelach unosiły się jak chmura w powietrzu, w sumie pomysł będący inspiracją do namalowania obrazu wywietrzył w trakcie roboty, sam nie wiedziałem co namalowałem, tyle, że wiedziałem, że jest to niewiele warte - Sińczak nawet chciał to kupić, ale Krauze mu odradzał, że obraz jest "deklaratywny", a widział w nim reakcję na stan wojenny coś jak "widmo armii nad ojczyzną" czy jeszcze inaczej, ogólnie rzecz biorąc nikomu nie zaświtała myśl na temat tego, co było inspiracją. Czuję, że format musi być większy, ale nie miałem wtedy większego formatu i sposobu jak go oprawić, ani w co go oprawić etc. Musiało upłynąć dwa lata zanim powtórnie mając już materiał wróciłem do wizji pierwotnej tej z początku 1982. W pierwszym założeniu postacie stojące i częściowo wylaniające się z quasi wykopu miały stać na czymś w rodzaju bajorka wypełnionego ciemnoczerwonofioletową cieczą, z której też miały się wylaniać jakieś szczątki. Oczywiście zadziało przekleństwo niskiego sufitu i niemożności swobodnego malowania u dołu obrazu, o czym pisałem w poprzednim liście. Bajorko zmieniło się w załamany strop, spod którego widać było głowy i hełm poniżej, strop został zamalowany i w ogóle przerabiany był tyle razy, że nie pamiętam już, co jest obecnie: jakiś taki dół i wykop czy coś niezbyt sprecyzowanego. to, co wyżej malowało się szybciej i łatwiej. Dość szybko zamiast poszczególnych postaci zrobiłem coś w rodzaju "zrostu" bez wyliczania czyja ręka czy noga, do kogo należy - czułem, że tak jest lepiej, problemy zaczęły pojawiać się w trakcie zmęczenia tematem - jak zwykle zacząłem czuć się ograniczany tym, co sobie założyłem i wydawało mi się, że porzucając założenie zrobię lepszy obraz. Jest to zresztą moja normalna reguła postępowania, której nieco się wstydzę, stąd nigdy nie przyjąłbym zamówienia nawet od siebie samego, bo obraz rozrastając się zaczyna dyktować prawa dotyczące tego, czym ma być i trzymanie się na siłę koncepcji pierwotnej mija się z celem. W trakcie pracy czuję się raczej służką obrazu, który rozrasta się zgodnie, ze swymi prawami, niż służką koncepcji, która stała u jego poczęcia. Tak więc pojawił się problem tego typu, że ten tłum stał jakby w oczekiwaniu na coś, czego w tym obrazie nie było, czułem, że konieczne jest dodanie tego czegoś, a nie wiedziałem co by to być mogło co by wiązało grupę ludzi czy tłum ludzi poubieranych w hełmy i szynele. Myślałem o czymś, co unosiłoby się na pierwszym planie w powietrzu np. latający hełm - musiałbym namalować to coś całkiem inaczej niż resztę, tak, aby było jakby bardziej materialne,

bardziej ostre, wypolerowane... Porzuciłem tą myśl i zdecydowałem, że od tyłu na żółtym niebie pojawi się, zeppelin, ponieważ jednak tło jest rozmyte, nieostre, postacie na horyzoncie ledwie zamarkowane jako amorficzny tłum, powstał problem, gdyż nie można było tego, co jest najdalej, (czyli zeppelina) namalować ostrzej niż to, co jest bliżej. Namalowałem go blado, że wylania się od prawej strony, ale wyglądał w najlepszym wypadku jak Pershing. Napisałem więc na pierwszym planie u stóp postaci "Zeppelin". Żle to wyglądało. Zamalowałem napis. Wysunąłem zeppelina do przodu, tak, że widać było stery, co znacznie pogorszyło samą wizję [chodziło o to by się wysuwał, a nie stał na niebie w całej okazałości], ale wydawało mi się, że już zaczyna być dobrze. Na dwóch hełmach dodałem szpice takie, jakie miała armia niemiecka w pierwszej wojnie. Na to przyszedł kolega po fachu z żoną pożyczyć forszę, której nie oddał do dziś, ale na jego obronę mogę powiedzieć, że byłem tego pewien od początku, a owe 10 tyś traktowałem jako przystępną opłatę za to, że będzie na mój widok przechodził na drugą stronę ulicy. Bywam nieśmiały i przewrotny zarazem. Kolega po fachu był z innej nieco epoki niż jego małżonka. Tak więc kiedy powiedziałem, że obraz nazywa się Zeppelin ona miała na myśli grupę Led Zeppelin, a on militarizm pruski. Przerzucali się egzegetycznym bełkotem przez cały nieomal czas pobytu u mnie i "odsiadywania" pożyczki, sądząc, że sprawiają mi frajdę. Gdy wyszli powiedziałem "kurwa" i zamalowałem sterowiec, gdyż mnie wydawał się być "poetyczny, ale odczytywany był całkiem "w bok", a mimo wszystko zależy mi na właściwym odczytaniu przez ludzi tego, czego sam nazwać sensownie nie potrafię. No i na tym rzecz zakończyłem. Nic już więcej przy obrazie nie robiłem. Wie Pan wszystko. Czy na tym Panu zależało? Pięknie pozdrawiam oboje Państwa i kończę, bo papier się skończył."



„Auschwitz Birkenau”

To chyba najbardziej ekspresywny obraz Mistrza. Wystawiałem go na, zdaje się, trzeciej wystawie w „Valmay” w 1988 roku (czy też na drugiej w 1986? Nie pamiętam). Nie muszę go wyłączać ze sprzedaży, bo nawet gdybym chciał go sprzedać, nikt by go prawdopodobnie nie kupił. Jest tak mocny, że tylko ja z żoną możemy z nim żyć na co dzień, podziwiając jego piękno i nie mając koszmarów.



„Wanna”

A to jest słynna „Wanna”, którą sprzedałem pewnemu kolekcjonerowi z Warszawy, za co powinienem smażyć się w piekle. Bo obraz jest przepiękny, był wystawiony na mojej pierwszej wystawie w „Valmay” w 1985 roku i nie było żadnej potrzeby, nawet pieniężnej, żeby go sprzedawać. Co mnie podkusiło wtedy, żeby ulec namowom nabywcy, nie wiem i nigdy sobie tego nie wybaczę. To następny obraz z tych 13 czy 14, których nie powinienem był nigdy wypuścić z rąk. Pocięsza mnie tylko fakt, że ów nabywca jest moim dobrym znajomym i że mogę zawsze obraz obejrzeć gdy jestem w Warszawie. No, ale to słaba pociecha.



„Krzyż na skale”

Ten obraz kupiłem od Beksińskiego na pierwszą wystawę w „Valmay” w 1985 roku. Był to jeszcze okres wielkich nadziei. Na cle w Polsce kazano mi otworzyć skrzynie, w których znajdowały się obrazy na tę wystawę i zebrany wokół tłum wydawał głośne „achy” i „ochy” z podziwu. Byłem więc pewien, że te obrazy, a zwłaszcza ten właśnie, podbiją Paryż. Boże, jaki byłem naiwny!

Dziś obraz „krzyża na skale” należy do mojej niewzruszalnej kolekcji. Dodam, że był również eksponowany w filmie „Hommage à Beksiński”. Otóż jest w tym filmie scena gdy kamera zjeżdża od góry krzyża do dołu i zatrzymuje się w połowie skały. Tu Beksiński jęknął „Idiota, nawet nie sfilmował przejścia”. Bo na dole skały jest ciemna wnęka, która do czegoś prowadzi. Był to dla Mistrza jeszcze jeden dowód na to, że Dziworski, reżyser filmu, jest kompletnym kretynem i niczego z tego malarstwa nie zrozumiał. Bo Beksiński nienawidził tego filmu i choć był człowiekiem łagodnym, to zabiłby własnymi rękami Dziworskiego, takim do niego zapałał gniewem. Napisał na ten temat szereg listów do mnie, które zamieściłem jako komentarz do filmu, który znajduje się w „Filmotece” niniejszego, wirtualnego muzeum. Polecam czytelnikowi rzucić okiem zarówno na ten film jak i na te listy.



„Taniec szkieletów”

To jest obraz który był wystawiany w galerii Wahl, kiedy to na prośbę Beksińskiego, chyba w 1989 roku, zgodziłem się na takową, mimo iż miała być połączona ze sprzedażą na korzyść Alicji Wahl. Ale ten obraz uznałem za na tyle wybitny, by go zarezerwować dla siebie. Tak było również z dwoma brązowymi krzyżami, o których piszę poniżej. Ów „Taniec szkieletów” sprzedałem w ciężkich czasach Tahitanicykowi razem z „Dużym krzyżem” i „Postacią lewitującą”. Po czym, jak to opowiedziałem przy okazji „Dużego krzyża”, po wielu latach odkupiłem go wraz z tamtymi dwoma od spadkobierców Vognien. Beksiński miał zastrzeżenia do kuli na trawie, którą jak mi się przyznał, niepotrzebnie tam wsadził. Potem pewien pisarz i esteta paryski, André Barret, napisał wspaniałą książkę - album pod tytułem „Les peintres du fantastique” („Malarze fantastyczności”) i poprosił mnie o pozwolenie reprodukcji tego obrazu. Na co skwapliwie się zgodziłem. No i Barret też zreprodukował tę część obrazu, na której nie było kuli. Mnie ona w żadnym stopniu nie raziła, tak że nie wiem, co oni od niej chcieli. Ów album Barret’a został potem odznaczony wielką francuską nagrodą literacką. Barret pisał wspaniale, w stylu podniosłym, ale nie pretensjonalnym lecz tragicznym. To co napisał o „Tańcu

szkieletów” i w ogóle o twórczości Beksińskiego, było bardzo pięknie napisane. Po odkupieniu go „Taniec” wisiał przez długi czas w pokoju mojej żony.



„Parawan”

Ten obraz wisi obecnie w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie. Piszę o nim poniżej, przy okazji dwóch brązowych krzyży.



„Brazowy krzyż 1”

Patrz komentarz poniżej



„Brazowy krzyż 2”

Te dwa krzyże są wielkiej klasy pracami stworzonymi w okresie gdy Beksiński zaczął odchodzić od malarstwa fantastycznego mniej więcej pod koniec 1987 roku. Były, moim zdaniem, jednymi z ostatnich udanych obrazów przed całą serią dzieł mniej interesujących, które stworzył na początku lat 90-tych. Były one wystawiane w galerii Wahl w 1987 roku, kiedy to na prośbę Mistrza zgodziłem się, żeby zrobiła ona w Warszawie wystawę połączoną ze sprzedażą, z dochodem dla niej. Tyle tylko, że tak jak „Taniec szkieletów” i „Parawan”, wyłączyłem te dwa ze sprzedaży i zabrałem dla siebie. Wielokrotnie pokazywałem je w mojej galerii na rue Quincampoix w Paryżu. Zawieszane na jednej ścianie, przedzielone obrazem „Parawan”, który jest szary, robiły w trójkę bardzo silne wrażenie harmonii kompozycyjnej i kolorystycznej.



„Twarz oliwkowa”

Ten obraz umieściłem na okładce drugiego tomu mojego albumu „Beksinski peintures et dessins 1987-1991”. Obecnie wisi w częstochowskiej Miejskiej Galerii Sztuki. Bardzo go sobie cenię. No i oczywiście nigdy się z nim nie rozstanę chyba, żeby moje marzenie o prawdziwym muzeum Mistrza miało się zrealizować jeszcze za mojego życia.



„Twarz z kartki papieru”.

Ten obraz wypożyczyłem na pięć lat do Muzeum Narodowego w Lublinie wraz z „Pomarańczową postacią”. Jakies dwa lata temu, po skończonym okresie depozytu, odebrałem go.



„Pomarańczowa postać”

Ten obraz wypożyczyłem, wraz z „Twarzą z kartki papieru”, Muzeum Narodowemu w Lublinie, gdzie wisiał przez pięć lat. Po czym wycofałem je oba, a ten przekazałem do Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie, gdzie wisi obecnie.



„Misiaczek”

To jest jeden z obrazów malowanych akrylem w specyficzny sposób, jakby „rzeźbionych” w kamieniu. Serię tę stworzył Beksiński chyba w 1992 roku. Było tego ze dwadzieścia obrazów, jedne bardziej zaskakujące od drugich. Na szczęście byliśmy wtedy jeszcze w układach współpracy, toteż prawie wszystkie z tych obrazów dostały się w moje ręce. Kilka było nieudanych. Jeden z tych, które mniej lubiłem, podarowałem jednej z naszych przyjaciółek. Resztę trzymam skwapliwie, bo to jest coś nie tylko wspaniałego, ale jednocześnie wyjątkowego w twórczości Mistrza. Dodam, że obraz „Misiaczka” był reprodukowany na plakacie mojej drugiej wystawy prac Beksińskiego w mojej wówczas nowo otwartej galerii na rue Quincampoix w 1992 bodajże roku. Dziś wisi on w częstochowskiej Miejskiej Galerii Sztuki.



„Dwie twarze”

Ten obraz dostałem od Mistrza w zamian za dwa inne, które już do mnie należały, a których nie lubiłem. W sumie nie żałuję tej zamiany, bo ten obraz jest wyjątkowo „mocny”. Wisi w pokoju mojej żony.



„Kamienna głowa”

Ten tak samo wymieniłem u Beksiańskiego na dwa mniej udane. Też wisi w pokoju mojej żony.



„Król i królowa”

To sam Beksinski tak go nazwał, bo namalował go pod wpływem rzeźby Henry Moor'a pod tym samym tytułem. Beksinski na ogół nikim się nie inspirował, bo jego wyobraźnia była tak bogata, że nie potrzebował żadnych wzorców. Więcej nawet – widząc prace innych artystów, Mistrz tylko tracił werwę, bo albo go to nie interesowały albo mu się wydawały lepsze od tego, co sam robił i to go napawało zniechęceniem. Tak więc unikał wszelkiej konfrontacji z pracami innych artystów. Toteż wpływ Moor'a jest absolutnie wyjątkowy, bo właściwie jedyny w twórczości Mistrza. Bardzo często malował więc takie leżące, oparte na łokciu postacie niby żeńskie, które często w formie jeszcze bardziej abstrakcyjnej rzeźbił Henry Moor. Poniżej zamieszczam jedną z takich prac Mistrza, która bezpośrednio czerpie z rzeźb tego Anglika. Ten obraz należy do mnie. Zakupiłem go od Beksinskiego chyba jeszcze przed końcem naszej współpracy. Obecnie wisi w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie.



„Postać z Moora”

Ten obraz do mnie nie należy i cytuję go tutaj jedynie, by wskazać ogromny wpływ angielskiego rzeźbiarza Henry Moor'a na „gotycką”, post-fantastyczną twórczość Mistrza.



„Postać w szacie”

Patrz komentarz poniżej, pod „Niebieską twarzą”.



„Niebieska twarz”

Dwa powyższe obrazy, „Postać w szacie” i „Niebieska twarz” (tak je nazwałem w korespondencji z Beksińskim i tak już zostało) nabyłem od niego drogą listowną, tuż przed jego śmiercią. Lub tylko tak mi się wydawało. Bo sądy polskie zdecydowały inaczej.

Pewnego dnia Beksiński przesłał mi, tak jak to miał w zwyczaju, e-mail z reprodukcją jednego i drugiego. Ja się nimi zachwyciłem i napisałem, że je biorę. On na to „w takim razie są dla ciebie zarezerwowane”. Pozostało pojechać do Polski, zapłacić i wziąć obrazy. Lecz sama transakcja została zawarta „solo consensu” - listowna wymiana zgodnej woli obu stron. Niestety, gdy przyjechałem do Polski by dokonać tych już tylko materialnych czynności wręczenia pieniędzy i odebrania obrazów, od dwóch dni Beksiński nie żył. Na obrazach natychmiast położył łapę Banach z Sanoka. Na pogrzebie Mistrza poinformowałem go o tym, że należą mi się dwa obrazy, a muzeum w Sanoku należy się, jako spadkobiercy Beksińskiego, ich cena. Dodałem naiwnie, że sam byłem winien Beksińskiemu jeden obraz z dawnych rozliczeń. Na co Banach po pierwsze odmówił wydania mi obu zakupionych obrazów, a po drugie zażądał stanowczo wydania tego, o którym dowiedział się ode mnie, że należy się w schedzie. Nie pozostawało mi nic innego niż pójść do sądu. Ale była to decyzja z góry

skazana na niepowodzenie, bo być sądzonym przez lokalny sąd w Sanoku nie pozostawiało żadnej nadziei. I tak się też stało. Na rozprawie była cała prasa lokalna, lokalna telewizja i radio, wszyscy „w obronie mienia, które się nam należy”. Uprzednio już lokalne gazety zrobiły szum wokół paryskiego handlarza, który na to by zrobić dobry interes („bo teraz po śmierci Beksińskiego takie obrazy są warte po 100 tysięcy złotych”), chce okraść Sanok z tego, co mu się prawnie należy. Przyleciałem na rozprawę z Paryża. Lokalny sędzia wysłuchał mnie grzecznie po czym, po kilku tygodniach uznał, że ponieważ Beksiński napisał do mnie, że „obraz jest więc dla Ciebie zarezerwowany”, znaczy to, że transakcja nie doszła jeszcze do skutku i że własność nie została na mnie definitywnie przeniesiona. Można było sądzić tak, można było odwrotnie. Tak więc poszedłem do sądu apelacyjnego. Tam było jeszcze więcej prasy i innych mediów, a sadził sąd w składzie trzech sędziów. Znow przyleciałem z Paryża na rozprawę. Po wysłuchaniu obu stron przewodniczący zarządził pięciominutową przerwę po czym... przeczytał pięciostronicowy wyrok odrzucający moje roszczenie. Czyli, że zanim otworzyłem usta wyrok już był nie tylko wydany, ale nawet już napisany i wydrukowany! Spędziłem trzydzieści lat w paryskiej palestrze i widziałem wiele wyroków, od których jeżyły się włosy na głowie. Ale takiego wypadku jeszcze nie widziałem. Dodam, że proces kosztował mnie więcej niż cena tych obrazów. No i oba przepadły. Nie wspominam o tym, że już dawniej, zanim doszło do sądu, oddałem Banachowi obraz, który należał się ode mnie Beksińskiemu.



Tę katedrę dostał od Beksińskiego fotograf Rosikoń. Gdy zaczynałem współpracę z Beksińskim, wynająłem pewnego polskiego fotografa, który miał za zadanie robić duże slajdy (ektachromy) wszystkich obrazów, znajdujących się w muzeach i u kolekcjonerów oraz całej bieżącej produkcji. Po pewnym czasie zaczął on „odwalać” pracę, robiąc ektachromy zupełnie bez światła. Toteż zrezygnowałem z niego i od tego czasu periodycznie wysyłałem z Paryża mego tutejszego fotografa, by robił u Beksińskiego seriami ektachromy nowo powstałych obrazów. Co wykonywał bezbłędnie. Ponieważ te zdjęcia stały się podstawą prawie wszystkich albumów, jakie później zaczęły powstawać o Beksińskim, zrozumiał on ich wagę. Bo sam dawniej, przed spotkaniem ze mną, ograniczał się do zdjęć czarno-białych nowo powstałych obrazów, co oczywiście nie nadawało się do wydawnictw książkowych. Toteż gdy ustała nasza współpraca, Beksiński sam wszedł w porozumienie z pewnym warszawskim fotografem, by ten robił mu ektachromy nowych prac. W zamian ofiarowywał mu jeden obraz rocznie. Szybko się złapał na tym, że przepłacił, bo prace fotograficzne byłyby go kosztowały dużo taniej, gdyby je zechciał opłacać gotówką. No, ale było za późno by się wycofać. Tak więc ten piękny obraz, jak i dwa czy trzy

inne równie znakomite, dostały się rzeczonemu Rosikonowi, który bezbłędnie wybrał (bo Mistrz dawał mu do tego prawo) to, co najlepsze.



„Odchodząca postać”

Taka „Odchodząca postać” była jednym z częstych motywów obrazów Bekszińskiego. Sam mam ich dwie. Jednak ta, malowana już pod koniec życia artysty, w charakterystyczny dla tego okresu sposób falistej linii, była szczególnie piękna. Bardzo nalegałem by mi ją sprzedał. Niestety, zaplanował sobie, że odda ją Sanokowi. Co zrobił. Proponował mi natomiast kilka innych obrazów do nabycia. Ponieważ byłem rozczarowany odmową „Odchodzącej postaci”, najpierw zrezygnowałem z jakiegokolwiek zakupu. Po czym moja żona uprzytomniła mi, że w ten sposób przepadnie nam kilka najpiękniejszych prac z tego okresu twórczości, z którego mieliśmy tylko niewielką ilość obrazów. Toteż szybko zmieniłem zdanie i pospiesznie pojechałem do Warszawy by sfinalizować zakup czterech obrazów, o których piszę poniżej i zawieźć je do Paryża.



„Czarna twarz”

Patrz komentarz poniżej.



„Ucieczka”

Patrz komentarz poniżej.



„Szara budowla”

Patrz komentarz poniżej.



„Katedra z błyskawicą”

Cztery powyższe obrazy, które uważam za arcydzieła, zakupiłem za jednym zamachem pod koniec życia Mistrza. Wprawdzie marzyło mi się również zakupić jednocześnie „Postać odchodzącą” i „Konia”, ale nie wiem dlaczego Beksiniński zdecydował, że te dwa ostatnie mają pójść do Sanoka. W przewidywaniu zbliżającej się śmierci, dawał im bardzo wiele obrazów niby w depozyt, ale tak naprawdę z myślą o tym, że mają tam zostać na zawsze. Te cztery powyższe obrazy, w tym trzy tak zwanego między nami „dużego rozmiaru” (132 cm wysokości na 98 cm szerokości), przez długi czas wisały u mnie w pokoju gościnnym. Oczywiście mają zawisnąć w wymarzonym muzeum Mistrza na jednym z naczelnych miejsc.



Ten zardzewiały wagon został namalowany już w okresie „gotyckim”, do którego ewidentnie nie pasuje, bo raczej wpisuje się w estetykę okresu „barokowego” (fantastycznego). Sam Mistrz dziwił się, że mu się coś takiego namalowało w epoce, w której jego poszukiwania estetyczne dawno już opuściły te rejony. Chciałem go kupić ja, bo było to już po zerwaniu naszych układów i jedynym przywilejem jakim dysponowałem, było to, że zawsze zajmowałem pierwsze miejsce w kolejce. Toteż Beksiński zaproponował mi jego zakup. Pech chciał, że nie miałem właśnie pieniędzy, a byłem na wakacjach, na południu Francji, z dala od mego banku by zaciągnąć pożyczkę. Beksiński, do którego szturmował jakiś kolekcjoner, by obraz nabyć, nie zgodził się czekać kilku tygodni do mojego powrotu do Paryża i obraz owemu kolekcjonerowi sprzedał.



„Balon szary”

Patrz komentarz poniżej.



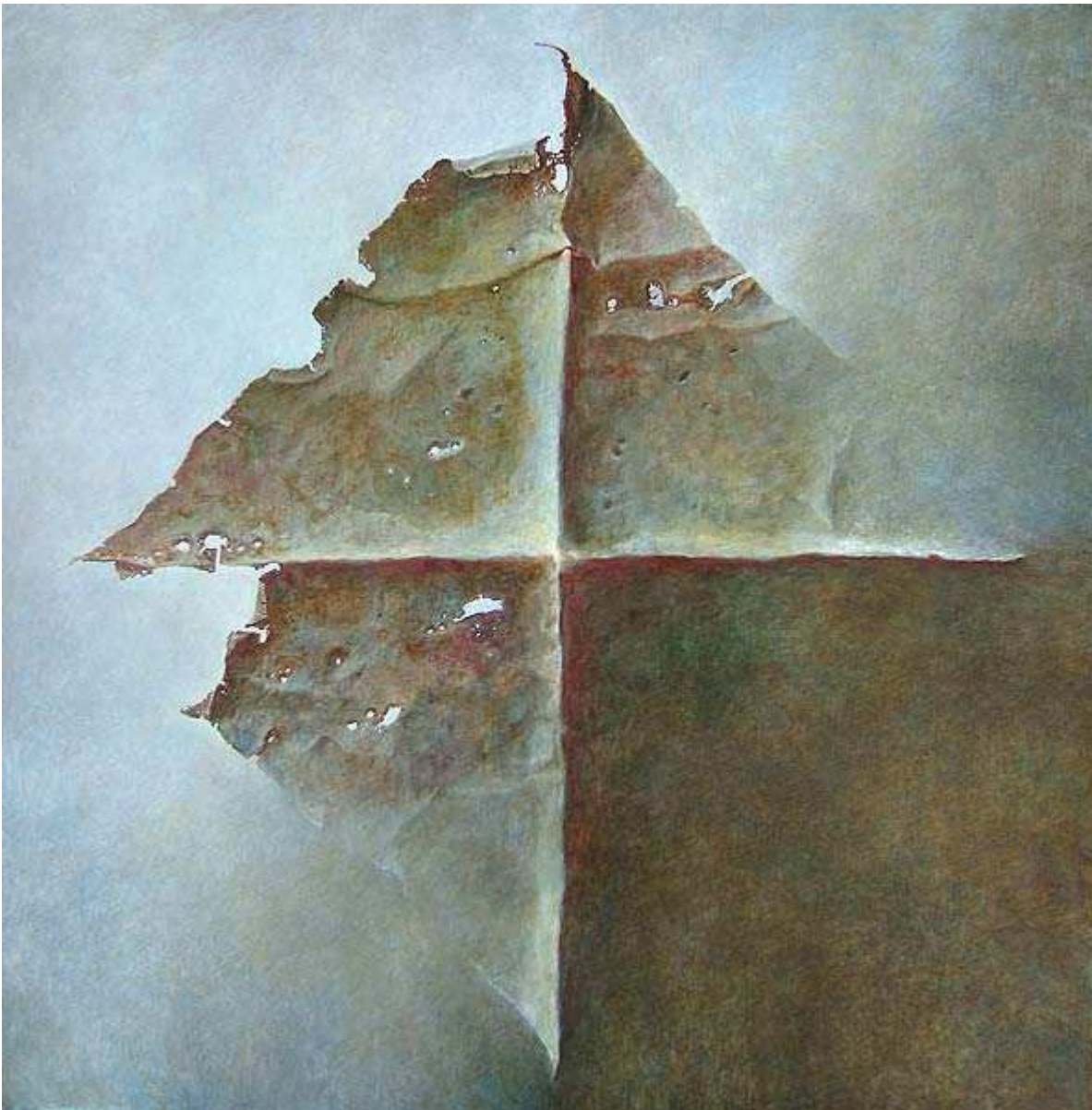
„Szary samolot”

Patrz komentarz poniżej.



„Samolot z błyskawicą”

Wszystkie trzy powyższe obrazy były „zwierzętami domowymi” Beksińskiego, wykluczonymi ze sprzedaży. Wisiały w jego pracowni komputerowej. Bo Mistrz miał zawsze, od kiedy się przeprowadził do Warszawy, osobną pracownię malarską. Ale po śmierci obu matek, zwolniły się u niego dwa pokoje, z których jeden przeznaczył na pracownię komputerową. Jeszcze bardziej niż w pracowni malarskiej panował tam niezwykle porządek i wręcz niesamowita atmosfera. Jest niewybaczalnym błędem dyrektora muzeum w Sanoku, Banacha, że sprzedał mieszkanie Beksińskiego, a nie zrobił z niego świątyni dla wszystkich fanów Mistrza. Zobaczenie obu tych pracowni robiło ogromne wrażenie i na zawsze pozostawało w pamięci, a jednocześnie wiele mówiło o samym artyście.



Ten obraz był ostatnim jaki Beksinski namalował. W dniu jego śmierci stał jeszcze na sztalugach nie poželowany. Tym samym, tak jak cała zawartość mieszkania Mistrza, dostał się Sanokowi. Takich kwadratów z różnymi wariacjami namalował Beksinski kilka. Dwa czy trzy zakupiłem ja, a potem sprzedałem, bo nie byłem ich fanem. Jeden, bardziej kolorowy niż inne, jest jeszcze w moim posiadaniu. Jest opublikowany w wirtualnym muzeum Beksinskiego.